



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

### Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszu” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.



### J. E. kardynał M. Ledóchowski.

Dnia 22-go b. m., we wtorek, o godzinie 6-ej z rana, zmarł w Rzymie na paraliż serca J. E. ks. kardynał Mieczysław Ignacy hr. Halka Ledóchowski.

Zmarły dostojnik Kościoła urodził się dnia 29-go października r. 1823-go, we wsi Klimontowie, w Królestwie Polskiem, z ojca Józefa i matki Maryi z Zakrzewskich.

Nauki początkowe pobierał w Radomiu i Warszawie, poczem wstąpił do seminarium św. Jana w Warszawie, z kąd po otrzymaniu święceń kapłańskich w r. 1845-ym udał się na dalsze studia teologiczne do Rzymu, do kolegium Jezuitów, gdzie pobierał nauki na koszt papieża.

Wybitnymi zdolnościami swemi zwrócił na siebie uwagę dostojników Kościoła, a zwłaszcza Papieża Piusa IX-go, który też mianował go swoim prałatem domowym i protonotaryu-

szem apostolskim, poczem, zauważywszy w nim wielkie zdolności dyplomatyczne, mianował go audytorem nuncjatury papieżkiej w Lizbonie, na którym to stanowisku przebył lat kilka.

W r. 1847-ym mianował go Papież delegatem apostolskim w rzeczypospolitej Nowa-Grenada, w Południowej Ameryce. Niezadługo jednak, po zerwaniu przez prezydenta Mosquera stosunków z władzą kościelną i uwięzieniu biskupów, został przez tegoż z granic rzeczypospolitej wydalony i powrócił do Rzymu, gdzie został mianowany nuncyuszem w Belgii. Po otrzymaniu w r. 1861-ym godności arcybiskupa *Teb in partibus*, naznaczony został na nuncjaturę do Bawaryi.

Na stanowisku tem przetrwał do r. 1866-go, poczem w styczniu tegoż roku został powołany na stolicę arcybiskupią gnieźnieńską, osieroconą po zmarłym w r. 1865-ym arcybiskupie Leonie Przyłuskim.

Prekonizacja jego odbyła się na konsystorzu w r. 1866-ym, razem z arcybiskupem kołońskim, ks. Melchersem, wjazd zaś uroczysty do Poznania odbył w dniu 20-ym kwietnia tegoż roku.

W dniu 15-ym kwietnia r. 1874-go przez sądy pruskie do spraw kościelnych został

usunięty ze stanowiska arcybiskupa, a w dniu 15-ym marca r. 1875-go przez Papieża Piusa IX-go mianowany kardynałem.

W lutym r. 1876-go udał się do Rzymu, gdzie już od tego czasu stale przebywał.

Mianowany w r. 1885-go sekretarzem brewów, aby umożliwić mianowanie następcy na osieroconą stolicę, zrzekł się w r. 1886-ym godności arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, w roku zaś 1892-im powołany został na urząd generalnego prefekta *de Propaganda fide*, urząd, zajmujący drugie miejsce po godności papieża.

W r. 1895-ym obchodził 50-letni jubileusz kapłaństwa, a w dniu 15-ym marca r. 1900-go 25-lecie mianowania kardynałem.

Stan zdrowia jego, od dłuższego czasu nadwreżony, był bardzo złym, lecz nie rokowało tak blizkiej katastrofy.

Cześć jego pamięci.

Kr.





# WŁADYSŁAW ORDON.

(Ze wspomnień lwowskich).



W pierwszych dniach listopada r. 1871-go otrzymałem od Władysława Belzy z Poznania krótki liścik i wycinek z miejscowego dziennika, zapowiadający mi jego przybycie do Lwowa, w którym wówczas stałe mieszkałem.

Wspomnianym owym „wycinkiem“ było następujące lakoniczne zawiadomienie jednego z tygodników poznańskich, wydrukowane w nim dużemi a grubemi literami:

## Od Redakcyi.

„Z dniem dzisiejszym występują z redakcyi „Tygodnika Wielkopolskiego“ dwaj nasi od pierwszego zawiązku pisma, współpracownicy-poeci: Władysław Belza i Władysław Ordon. Z boleścią żegnamy naszych niezmordowanych pomocników, pewni jednak, że gdziekolwiek ich los rzuci—pracami swemi zasilać nas nie przestaną.“

Wiadomość zawarta w krótkim liście Belzy i w załączonym doń wycinku — nie była dla mnie niespodzianką.

Oczekiwałem tedy z wielką niecierpliwością zapowiedzianego przybycia Władka Belzy, któregośmy wszyscy kochali serdecznie, a z którym, podczas pobytu jego we Lwowie, miałem sposobność zawiązać bliższe stosunki.

Z oczekiwaniem tym jednak Belzika — tak go zazwyczaj nazywaliśmy poufnie — łączyła się i niemała ciekawość, bo pomimo, iż nie wspominał o tem w swym liście, zdawało mi się ciągle, że musi z nim do Lwowa przybyć koniecznie i Ordon, którego jeszcze wówczas nie znałem osobiście, a z którym dziwnym zbiegiem okoliczności i los i ludzie łączyli wciąż Belzę, choć niezbyt było łatwo znaleźć dwie jednostki, któreby mniej ze sobą sympatyzowały, a bardziej się różniły charakterem i talentem.

Kto wszakże pomni te czasy, wie o tem dobrze, iż niepodobna było prawie znaleźć jakiejś wzmianki w pismach galicyjskich lub poznańskich, dajmy na to o Belzie, aby nie było w niej zaraz mowy o Ordonie i *vice versa*. Wypływało to zapewne ztąd, że obaj, jako poeci, wystąpili równocześnie na widownię literacką, że obaj rozpoczęli swe debiuty od występów w „Przeglądzie Tygodniowym“, obaj potem opuścili Warszawę, obaj zamieszkali później w Poznaniu, obaj zostali stałymi współpracownikami „Tygodnika Wielkopolskiego“, i że obaj nakoniec znów znaleźli się razem — we Lwowie. Przypisać też potrzeba, iż mimo wzajemnej ich do siebie niechęci, Belza przynajmniej odzywał się zawsze z wielkiem uznaniem o świetnych zdolnościach Ordona, zachwycał się nieraz talentem jego poetycznym i krasomówczym, ale.... z tem wszystkim — nie lubił go szczerze. Bądź co bądź jednak, słysząc o nim tyle, zachwycając się równie nie jednym z jego utworów — pałałem niecierpliwością poznania go jak najszybciej.

Nadszedł wreszcie dzień 17-go listopada r. 1871-go, w którym miał przybyć Belza, a wraz z nim, prawdopodobnie i Ordon.

Pobiegłem co tchu na dworzec kolejowy. Towarzyszył mi ktoś jeszcze, ale już nie pamięć kto: zdaje się, że Jan Grzegorzewski, czy też nieodżałowany Stach Grudziński.

Zaledwie weszliśmy na peron, ujrzeliśmy zbliżający się pociąg. Gdy stanął, wyskoczył zeń żywo piękny, hoży, rumiany, złotowłosy młodzieniec—był to Wladek Belza.

Powitaliśmy go serdecznie.

Obejrzałem się dokoła — nie postępował za nim nikt.

— Władku! — zawołałem rozczarowany. — A cóż-to, nie przywiozłeś nam Ordona?

— Zkądś to sobie uroił, mój drogi, że ja go wam przywiozę? Być może, iż przyjedzie tu później, ale tymczasem pozostał jeszcze w Poznaniu, choć najdalej za dni parę będzie już gdzieś musiał wyjechać koniecznie.

— No, to nie tracę nadziei, że powitamy go we Lwowie.

— Bardzo być może. Lecz nim to nastąpi, zakwateruję się u ciebie. Zgoda?

— Ależ zgoda! zgoda! Z całego serca cię o to proszę i rad ci będę niewymownie. Obawiam się tylko — dodałem zakłopotany, — czy w szczupłym mojem mieszkanku nie będzie ci za ciasno, bo obecnie mieszka u mnie chwilowo i Grzegorzewski.

— Nie troszcz się o to, — odpowiedział. — Umieć się godzić ze wszystkim. Pomieścimy się jakoś.

Mieszkałem wówczas przy ulicy Szerokiej, zwanej dziś ulicą Kopernika, i zajmowałem po studencku jeden mały pokój na parterze, w którym oprócz niewielkiego łóżka, stołu szafy i kilku krzeseł, oprócz książek i szparagalów — wątpię, czy było co jeszcze.

Nie mogło więc być mowy o wygodach. Ustapiłem łóżka moim gościom. Sam sypiałem na podłodze i—mówię jak najszczerzej—byłem tem bardzo uszczęśliwiony, że mogłem im wyświadczyć tę drobną przysługę.

Upłynął tak czas jakiś, aż wreszcie po bliższym porozumieniu się z Belzą — przyjechał istotnie i Ordon. Mieszkaliśmy więc odtąd przez dni kilka czy więcej, we czterech, t. j. ja, Ordon, Belza i Grzegorzewski. Było nam ciasno — to prawda, ale za to na wesołości i humorze nie zbywało nigdy. Wkrótce wprowadził się Grzegorzewski i znów przez czas dłuższy mieszkaliśmy we trzech.

Lecz powróćmy do przyjazdu Ordona.

Oczekiwałem go tedy wraz z Belzikiem na dworcu kolejowym, jak niedawno jeszcze z kimś innym oczekiwałem tu na niego. I znów nadbiegł wkrótce pociąg, i znów wysiadł zeń drugi już z kolei głośny poeta, który podobnie, jak i Belza, miał zamieszkać we Lwowie.

Nasłuchałem się tyle od Belzy i od innych o rzekomej brzydocie Ordona, iż właśnie może dlatego, gdy go ujrzałem po raz pierwszy, wydał mi się o całe niebo piękniejszym, niż go sobie wyobrażałem. Prawda, że był karlego wzrostu, prawda, że w *niektórych* zwłaszcza *chwilach*, twarz jego z profilu przypominała nieco... baranią, prawda, że była cokolwiek piegowatą, ale od tego daleko jeszcze bardzo do tak niesłychanie złośliwego opisu postaci Ordona, jaki znajdujemy np. w pa-

miętniku: „Stara i Młoda Prassa“ (Petersburg, 1897), w którym powiada autor (str. 45):

„Postawa i fizyognomia Ordona w niczem (?) nie zdradzały poety. Mały, kusi, krępy (?), miał twarz z wyrazem (!) baraním Czolo w tył cofnięte, duży (?) nos zagięty (?), usta zmysłowe, pleć piegowata — robiła go brzydkim, choć jak wieść niosła, miał szczęście u kobiet.“

I dodajmy od siebie, szczęście o wiele większe, niż np. Belza, który był przecie co się zowie pięknym młodzieńcem. Musiał więc chyba Ordon posiadać w sobie niezwykle czar jakiś i urok, skoro tak nim podbijał kobiety. A nie był nim zapewne wdzięk jego postaci. Dbał on wprawdzie o siebie, ubierał się elegancko, nosił długie włosy (iście lwia grzywe), wysokie cylindry, wysokie zawieszki... obcasy, trzymał się prosto, sztukował się, słowem, jak mógł, by wydać się tylko nieco wyższym, lecz mimo to wszystko, sam raz słyszałem, gdy sztychował z siebie nielitościwie, drwiąc z tych pretensy do... nadsztukowania się...“

Pojmował snać dobrze, że nie wysokością, przecie drobnej jego postaci, mierzyć się może duchowa jego wielkość, jeśli aż o niej roił kiedy naprawdę.

I było tak istotnie.

Kto miał tylko sposobność poznać go bliżej—musiał go podziwiać. Wróg nawet ciężki nie mógłby mu zaprzeczyć świetnych zdolności, znakomitego talentu, wymowy, dowcipu. A biada temu, kto przy osobistem z nim zetknięciu się, z jakichkolwiek względów pozwolił go sobie lekceważyć. Gdy zauważył to tylko—stawał się nieubłagany. Puszczał również wodze zjadliwemu swemu dowcipowi i przy każdej sposobności przeciwnika swego odtąd chłostał niemiłosiernie. Robiło mu to oczywiście bardzo wielu nieprzyjaciół, lecz mało dbał o to. Jeżeli jednak domniemany jego przeciwnik był jaką powagą naukową czy literacką, wówczas poeta nasz przybierał taktykę, zgoła odmienną; przeciwnika podobnego starał się zwykle olśnić swą wiedzą, kwiecistą swą wymową, subtelnym często dowcipem. Cóż dopiero, gdy zapragnął podobać się kobiecie, gdy zapragnął ją pojąć. A mimo niepowabnej swej powierzchowności, miewał dość często zuchwałę te chęci i jak już rzekliśmy wyżej—ogromne szczęście do kobiet. Świadczy o tem między innymi i jeden z drobnych jego utworów, który posiadam w autografie. Pisał go, pamiętam, tylko co wróciwszy z jakiejś zabawy, a dał mu tytuł: „Stanze.“ Zaledwie jednak rozpoczął ósmą strofę, wpada do nas niespodzianie (mieszkałem wówczas z samym tylko Ordonom i to już po raz drugi) wracający z tejże zabawy Michał Wołowski, który z nim wówczas w nieszczególnych był stosunkach, a zirytował go w dodatku swem przyjściem nie w porę. Przyjął go więc szorstko. Zaczęli się kłócić. Chciałem ich pogodzić, ale napróżno. Mocno obrażony Wołowski wybiegł co tchu, a Ordon zakląwszy go siarczyście, chwycił z gniewem papier, na który już rzucił przeslicznych strof kilka. Wyrwałem mu go z rąk, bo byłem raz świadkiem, jak posprzeczawszy się o coś z Klemensem Kantekim, podarł w mgnieniu oka to, co napisał przed chwilą. Obawiałem się więc, by tenże



sam los nie spotkał i świeżo skreślonej poezyi. Obruszył się na to zrazu, ale, że stracił już, jak się wyraził, *wenę* do dokończenia tego wiersza—nie żądał jego zwrotu. Zachowałem go na pamiątkę, tem bardziej, że nigdy już i później nie chciał go dokończyć. Oto tych strof kilka:

Chwalilaś głosu mego dźwięk i śpiewność,  
Chwalilaś myśli jasność i dostojność,  
Obrazów żywość, wyobraźni hojność,  
Uśmiech błyszczący, jak słońce, przez rzewność,

I z podziwieniem patrzyłaś mi w lice,  
Gdy wśród harmonii tej dysonans zgrzytnął,  
Na twarzy krwawy rumieniec zakwitnął,  
Olsniły błękit oczu — błyskawice.

Przestałaś chwalić i teraz drżysz cała;  
Czemuś zdziwiona — ja dziwić się muszę!  
Czyżeś raz pierwszy, gołąbko, widziała,  
Na więzy swoje zbuntowaną duszę?

Kochanko moja! — jam przy tobie niemy.  
Rosnąca miłość mą wymowę zmniejsza,  
A dusza moja jest, jak te haremy,  
W których sto dziewic, a każda piękniejsza,

Lecz wejścia do nich dniem i nocą strzeże  
Czarny niewolnik ze spojrzeniem dzikiem,  
I oczom ludzkim widok dziewic bierze:  
Dla mnie jest rozum takim niewolnikiem.

Słodyczy mojej nie wierz i pokorze,  
Wędzidło moje gryzę ja ukradkiem,  
I Bóg jest tylko tych zapędów świadkiem,  
Które ma dusza ledwie wstrzymać może.

Że namiętności są siostrami sobie,  
Ta prawda jasno mi się w oczach isci,  
Bo błogosławie i złorzecze tobie —  
Miłość jest moja, siostrą Nienawiści.

Wyciągasz rękę, by ją cofnąć żywo,  
Krok postępujesz, cofasz się dwa kroki;

*Alexander Bolesław Brzostowski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).



*Julia Terpiłowska.*



## PRZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.



(Ciąg dalszy).

Jur wyszedł do sadu, gdzie latem sypiał w hamaku, położył się, ale nie mógł zasnąć odrazu. Wzrok jego błądził w przepaścistej przestrzeni, zasypanej złotym prochem światów, a myśl traciła z wolna jasność, ścisłość i trzeźwość, aż przeszła w półsennie rozmarzenie. A wtedy gwiazdy rozpuściły promienne włosy, zamigotały żywymi oczyma i uśmiechnęły się do niego uśmiechem kobiecym. I zdawało mu się, że jedna z nich ma warokocz czerwono-złoty i zielonawe źrenice—i patrzy mu prosto w twarz palącymi oczyma Mewy, a druga ogarnia go siecią blado-złotych włosów i błękitną głębią spojrzenia Klary. Wtem pierwsza zakolysała się, zamigotała żywiej i jak opadający owoc dojrzały potoczyła się za ciemną granicę widnokregu, zostawiając za sobą blednącą pręgę czerwoną, a druga oplatała go coraz gęstszą siecią promieni, ogarniała coraz głębszą tonią błękitu, a on w tej świetlanej, modrej toni coraz bar-

dziej zanurzał się — pogrążał — aż rozplynał się — i usnął.

We śnie zamajaczyła mu jakaś dziwnie uroczą okolicą, w rodzaju tych, które się widuje wzdłuż Rivieri. Powaby natury podnosiła sztuka w sposób uwydatniający ich czar mięki i rozkoszny. Na tle szafirów morza, oprawionych brzegiem w lśniące marmury, wśród różanych kwietników i mirtowych gąszczy wznosił się ołtarz misternie rzeźbiony, a na nim bożyszcze jakies, ulane ze szczerzego złota. Przed ołtarzem płonął stos ofiarny, podsypany ręką kapłanki, która rzuciła weń obficie garście wonnego kadzidła. Kapłanka miała śliczne kształty, przesłonięte strojem Kleopatry—złotą siatkę spinaną klejnotami—i jak Kleopatra garnęła z uśmiechem do łona wiązki róż, z których wysuwała się mała główka, lśniące oczki i czarne żądelko węża aspika. Te kształty i te rysy promieniały zalotnym wdziękiem, dyszały upojeniem życia—była to Mewa. Dokoła niej snuły się ludzkie figurki, strojne, bezczynne i uśmiechnięte; a gdy narkotyczne dymy kadzidła rozchwiały się dokoła gęstą chmurą, poczęły się ślaniać w odurzeniu, aż puściły się w szalony pług dokoła ołtarza długim korowodem, prowadzonym przez Kleopatę. Płasali w coraz silniejszym upojeniu, coraz żywszem tempem, tłocząc się i popychając, aż potoczyli się pokotem na różane kwietniki i przewalali się po nich z wybuchami śpiewu i śmiechu, podobni rozbestwionej trzodzie. Wtem zadał wicher nad szafirami fali, zabuszował na słonecznym brzegu, rozrzucił stos ofiarny, skłębił chmurę popiołu i zasypał całe to rozpełzłe mrowie grubą warstwą szarego prochu, na której wnet porosły obficie ciemno-zielone liście, brudno-czerwone kwiaty i sine jagody belladony. Uroczy krajobraz nadmorski poszarzał, zatarł się i zniknął, na jego miejscu z szybkością zmian sennych zarysował się plac obszerny, otoczony średniowiecznymi budowlami. Jur poznał znaną mu starą dzielnicę starożytnego Rouen. Na placu zaroił się tłum w ubiorach z XV-go wieku, szykowali się halabardnicy, biegali siepacze, a czerwony kat z płonącą w ręku pochodnią stanął w gotowości u wysokiego stosu, w środku którego tkwił słup, przygotowany dla przywiązania ofiary. I nadeszła wielka chwila dziejowa: zabrząkły łańcuchy — ukazała się Joanna. Szczupła i powiewna, z falą blado-złotych włosów, spływających na pierś opancerzoną, z głębokimi błękitnymi oczyma, miała postać i oblicze Klary. Śmiałym krokiem rycerskim postąpiła ku stosowi, i poczęła wchodzić nań, jakby na stopnie tronu; a wtedy Jur krzyknął — i schwyciwszy jej rękę, chciał ją odciągnąć ku sobie. Ale ona podniosła drugą rękę w górę — on spojrzał we wskazanym kierunku, i nie mógł już oczu oderwać od promiennego widzenia. Nie puszcżając jej ręki, kroczyl za nią—i wstąpili razem na stos. Buchnęły płomienie; ale Jur, ogarniony niemi dokoła, nie uczuł bólu, tylko dziwnie błogie ciepło, przejmujące na wskrós całą jego istotę. Wtem stos się zapadł, a Jur wstrząsnął się i ocknął.

Świtało. Na wschodzie brzask poranny różowił się blado za perłowym przeźroczeniem nocnych oparów, a kontury widnokregu zabar-

wiały się liliowo. Wśród gałęzi rozłożystych topoli budziło się ptactwo, świegocąc żywo, strzępywało wilgotne od rosy piórka, przeciągało cienkie nóżki i strzępiaste skrzydelka. Z za obrywu, od wsi, dolatywał skrzyp zórawia, rozlegały się poryki pędzonej na ryzyko trzody i nawoływania ludzkich głosów.

Jur zerwał się, przeciągnął, poszedł orzeźwić się strumieniem studziennej wody i przy wschodzącym słońcu ruszył ku wsi ścieżką pod nad obrywem. Szedł do chaty Kalasantego, dowiedzieć się o zdrowie jego chorej żony, przy której czuwała Klara.

Z obórki dziewczyna wypędzała krowy.

— Gospodyni żyje? — zapytał Jur.

— Panu Bagu dziękować! — odpowiedziała.

— Panienska z plebanii jest przy niej?

— Są.

— Można zajść do chaty?

— Można, aby cicho.

Jur wszedł do sieni i drzwi od izby uchylil lekko.

Pod ścianą w głębi leżała na tapczanie chora z wyżółkłą twarzą i zacisniętymi sinemi powiekami. Mokra chusta, obwiązująca czoło, rzuciła na zastrzone rysy przykre, twarde cienie, jakby śmierć, przelatująca tędy przed chwilą, zostawiła za sobą ślady czarnego skrzydła. U wezłowia, na niskim stole, plecami o ścianę oparta siedziała Klara, z głową bezwładnie przechyloną na ramię. Z opuszczonej na kolana ręki wysuwała się lipowa gałązka: zmorzył ją sen, gdy oganiała muchy, które nawpół jeszcze senne pelzały zwolna około ust chorej.

Jur przysiadł cicho na brzegu tapczana, wziął ostrożnie gałązkę z kolan Klary i opędzając natrętne owady, przypatrywał się bladej twarzy, ocienionej długimi rzęsami, która wyglądała także, jakby po ciężkiej chorobie. Woskowa przejrzystość cery, spalone usta i podkrążone oczy, okazywały znużenie i przygnębienie, a z po za sennego ukojenia przeglądał wyraz głęboko smutny.

Po chwili chora poruszyła się przez sen, Klara natychmiast otworzyła oczy, spojrzała najpierw na nią, a potem spostrzegła Jura. Jur uśmiechnął się do niej, i położył palec na ustach, na znak, że się będzie cicho zachowywał. Ale Klara podniosła się, zarzuciła muslinową chusteczkę na twarz chorej i na palcach wyszła z izby, skinawszy na niego.

— Dzień dobry panu — rzekła w sieni, podając mu rękę. — Jak to pocziwie, że pan tak wcześnie przyszedł dowiedzieć się o biedną Kalasantową.

— Czy zdrowsza? — zapytał Jur.

— Przesilenie minęło — będzie żyła. Bóg łaskaw! tyle drobnych dzieci!...

— Więc teraz pani już może pójść spocząć? — Pójdę. Czekałam, żeby mocniej zasnęła; teraz trzeba jej tylko spokoju.

Zawołała dziewczyny, przykazała, aby nie hałasowano koło chaty, i żeby dano jej znać, gdy felczer z miasteczka przyjedzie. Potem wyszła z Jurem za wrota sadyby—i poprzeczną drożyną zmierzali za wieś, w stronę obrywu. Gdy stanęli na jego wysokim brzegu, słońce wynurzyło się już z za białego rąbka porannych oparów, i śmigając ukośnymi strzałami, zapalało drzące iskierki na uperlonej łące, malowało tęczowe smugi wzdłuż rżyska,



asnutego wilgotną przedzą pajęczą, a na dnie obrywu leżał jeszcze biały tuman w chłodnym cieniu.

— Śliczne te jesienne ranki, pół mgliste, a pół słoneczne! — odezwała się Klara.

Jur nic nie odpowiedział. Podał jej rękę, sprowadził w dół obrywu, pomógł przejść przez strugę po zwałonej wierzbie i po stromej pochyłości wyniść w górę, na drugą stronę, ale robił to w milczeniu, jakby na coś czekając.

Klara nie czekała na nic, ale czuła, że wypada cośkolwiek powiedzieć. Więc obejrzała się po szerokim błoni, i rzekła:

— Ostatnie kopy zabierają dziś z pola; jak to dobrze, że pogoda sprzyja.

— Panno Klaro! — przemówił nagle Jur, — dlaczego pani bawi się ze mną w dyskrecję?

— Jakto? — zapytała.

— Czy pani nie ciekawa dowiedzieć się, co dalej nastąpiło?

— A!... To już do mnie nie należy.

— A jednak pani musi posłuchać!

— Słucham — odparła, odwracając głowę, bo wyraz jej twarzy zdradzał, że wolałaby oszczędzić sobie szczegółów.

— Dostałem od panny Mewy przepysznego harbuza, który mi smakował, jak ananas, — rzekł Jur wesoło.

Klara zatrzymała się i zwróciła na niego szeroko otwarte oczy; on mówił dalej:

— Panna Mewa jest zaręczona z Frydem Grüberem.

— Co?!...

— Tak, tak, panno Klaro! Są osoby, poświęcające swoje wstręty na ofiarę celom pozytywnym... A ja na tem zyskuję — prócz pewnego dodatniego zwrotu w moim psychicznym nastroju — miłe wrażenie delikwenta, którego ominęła egzekucja.

— Doprawdy, zrozumieć nie mogę, do czego się stosuje to porównanie?

— To niechże pani zrozumie nareszcie, że nigdy nie kochałem Mewy — i że poszedłem w kierunku, w którym mnie pani popchnęła, nie z miłości dla niej, tylko ze złości na panią!...

Oczy Klary rozszerzały się coraz większym zdziwieniem. On mówił dalej:

— Ale teraz złość mi przeszła... Z łaski panny Mewy, która przede mną duszę swoją wydekoltowała, zobaczyłem wiele rzeczy w innym oświeceniu... przed oczyma memi zarysowały się paralele, uwydatniły się kontrasty, wyprowadziły się wnioski — i to, co pierwiej budziło we mnie gniew i rozgoryczenie, teraz budzi uznanie i podziw... pierwiej panią kochałem — teraz uwielbiam, i wiem, że do ostatniej chwili życia kochać i uwielbiać nie przestanę!

W pogodnym blasku porannego słońca twarz Klary mieniła się to białą, to różową. W oczach jej zapłonęła gorąca łuna szczęścia, na chwilę opromieniła rysy jak lampa w alabastrze — wnet jednak przygasła.

Klara opuściła długie rzęsy i rzekła z cicha:

— Jednakże to nic zmienić nie może... teraz, tak jak i pierwiej, to nie może doprowadzić do niczego...

— Owszem! — zawołał żywo, — może doprowadzić do czegoś, co ma także wielką war-

tość: wszak pani nie cofnęła mi swej przyjaźni?

— Ja — nie; to pan nie chciał...

— A teraz chcę i proszę o nią; będziemy kochać się, jak dwa duchy, skoro pani nie pozwala inaczej — i będziemy mieli pół szczęścia, skoro nie możemy mieć całego. Dobrze?...

— Dobrze, — odpowiedziała z prostotą, podnosząc ku niemu oczy, w których znów szczęście zaświeciło — i już nie zgasło.

Przyjacielskie stosunki pani Mimi z panem Wielołęckim nie ucierpiały na zerwaniu małżeństwa ich dzieci. Przy pierwszym po niem spotkaniu, w niedzielę na nabożeństwie pani Mimi zaprosiła miłego sąsiada na herbatkę do siebie, a przy pierwszych słowach rozmowy o przejściu zrozumiał, że Wielołęcki myśli, że to Mewa sama zerwała w skutek ciągłych scen zazdrości narzeczonego, została go w tem przekonaniu, ucieszona takim obrotem rzeczy, który sprawiał, że Wielołęcki nie tylko nie mógł mieć do niej pretensyi, ale nawet trochę się tłómaczył, obwiniając bardziej zbyt nie umiesienie się Mewy, niż wywołanie go przez Zygmunta.

Po katastrofie majątkowej i skończeniu interesu z Grüberami, pan Wielołęcki pojechał do miłej kuzyneczki na poufną gawędkę, w trakcie której z omówieniami, westchnieniami i zżymaniem się powierzył jej, że córka jego, zgnębiona zmianą położenia, zrezygnowała się na krok rozpaczliwy — i wychodzi na nabywcę Obrywina, nowego barona Fryderyka von Grübershof. Pani Mimi rozplywała się w kondolencyach, ale jednocześnie poddawała przyjacielowi, że zostanie panią na Obrywinie, z tytułem który się utrzyma jak tyle innych, nie jest jeszcze ostatniem nieszczęściem, jakim naprzykład byłaby dla panny z tej sfery konieczność pracowania na swoje utrzymanie.

Co do Wielołęckiego samego, wskutek zmiany majątkowego położenia stawał się on teraz łatwą zdobyczą w mniemaniu pani Mimi. No, naturalnie nie dla byle kogo, ale tak np. dla jakiejś osóbkki jeszcze wcale poważnej, a mogącej wnieść mu jakiś kapitalik, który, w połączeniu z tem co mu pozostanie, wystarczyłby na urządzenie się na stopie skromnej lecz przyzwoitej, w takim np. Krakowie, gdzie Wielołęcki miał zamiar zamieszkać zaraz po ukończeniu interesów.

Piękna pani uczuła się bardzo bliską rzeczywistnienia swoich długoletnich marzeń, bo rozumiała, że do tego potrzebaby teraz tylko równoważnika, któryby ostatecznie przeważył szalę wahania się chwiejnego wielbiaciela, a takim równoważnikiem byłaby cyfra podwajająca tę, którą obecnie zadawalniać się będzie musiał.

Pani Mimi kapitału odpowiedniego nie posiadała; ale była przekonana, że pozyskanie go jest dla niej rzeczą łatwą i prostą. Wszak nikt nie miałby prawa zabronić jej, gdyby zechciała, osiedlić się w mieście — i rzecz naturalna, że musiałaby tam utrzymywać się przyzwoicie. Rzecz także naturalna, że takie utrzymanie zapewniłby jej teść, pan Tomasz Nabrzeski; a że stary — jak wiadomo — ma w banku sporo oszczędności, więc kilka-

dziesiąt tysięcy nie trudnoby mu było przepisać na imię synowej, która przecież zasłużyła sobie już u niego na taką skromną gratyfikację.

W skutek tych kombinacji pani Mimi wzmocniła dozę swej uprzejmości względem obojga państwa Nabrzeskich, z którymi stosunek jej był dosyć etykietalny.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## RODDA.

Z cyklu „Życie.“



### I.

Życie to męka, a śmierć — wyzwolenie;  
Gdy ci znużone walką serce pęka  
Niczyna wówczas nie wesprze cię ręka,  
Poznasz samotność, gorycz i zwątpienie;  
A z twych ust ciche uleci westchnienie:  
— Życie to męka!

Tu — nie zabija jedno uderzenie;  
Codzienna szarość tak ci duszę nęka.  
Że odejść pragniesz w wieczności przestrzenie...  
— Życie to męka!

A nim się spełni tęsknych serc marzenie,  
Serc, z których żadne umrzeć się nie lęka,  
I śmierć nadejdzie — ostatnia podzięka,  
Duszę bezmierne strawi zniechęcenie...  
— Życie to męka!

### II.

Zawsze i wszędzie ta myśl gnębi ducha,  
Że odejść trzeba za świata krawędzie,  
Kędy nic istnień wszechludzkie się przedzie,  
Nic taka szara, tak wątła i krucha —  
Że nas ogarnie pustka nocy głucha  
— Zawsze i wszędzie...

Choć czasem serce weselem wybucha,  
Lecz myślą błądzi po cmentarnej grzędzie,  
Gdzie iskry życia nic już nie rozdmucha  
— Zawsze i wszędzie...

Igraszek losu powolne narzędzie,  
Gdy je życiowa zwalczy zawierucha,  
Bez skargi śmierci rozkazu posłucha...  
I wiekiustą ciszę cisz posiedzie —  
— Zawsze i wszędzie...

### III.

Wieczni tułacze błądzimy po świecie,  
Choć beznadziejnym żalem serce płacze,  
Sny na dnie duszy kryjąc swe junacze,  
Nim je w kojącej śmierci pograży Lecie,  
Błądzim, jak liście, które wichler miecie —  
— Wieczni tułacze!

Codzień, gdy duszę tęsknica oplecie,  
Každy z nas pyta: Kiedyż świt obacze?  
I codzień rwiemy nowych złudzeń kwiecie  
— Wieczni tułacze!

Bez woli — w życia idziemy zamiecie,  
Swych snów przedziwa niestrudzeni tkacze,  
Próżne lzy nasze, i sny, i rozpacze,  
Wciąż ku wytkniętej podążamy mecie —  
— Wieczni tułacze...



## Z cyklu „Roślaka.“

## I.

Wszystko skończone... Wokół pustka głucha...  
Na sennych polach szarych mgieł zasłonę  
Wicher rozwiewa — gna w daleką stronę,  
Jęczy, zawodzi i kurzawą dmucha,  
I rozpaczliwie szepee mi do ucha:

— Wszystko skończone...

Napróżno lata wspominać minione:  
Już serce dawnych wspomnień nie posłucha,  
Jedna dziś wichrzy się w niem zawierucha:

— Wszystko skończone...

Znowu sam jestem... Znajdę-ż gdzie obronę  
Od tej rozpaczy, co mi łamie ducha?...  
Skargą me serce tęskniące wybucha,  
Kiedy sny szczęścia wspomnę nieziszczone:

— Wszystko skończone!...

## II.

Zapóźno, serce! Pragniesz żyć  
W ciszy, gdy miotasz się w rozterce...  
W ciągłej od życia poniewierce.  
Masz-że ty siłę jeszcze śnić?...  
Dawno zerwana marzeń nić...

— Zapóźno, serce!

Ni tobie gniazdko z wiosną wic,  
Ni mknąć na złotych snów kobierce,  
Zapóźno pragniesz innem być,

— Zapóźno, serce!

Oto dziś z ciebie drwią szyderce,  
Że pragniesz życia płamy zmyć:  
Przestał się ogień uczuć tlić,  
W najmniejszej nawet zgasł iskierce:

— Zapóźno, serce!

Tadeusz Kończyce.

## W sprawie kobiecej.



(Dokończenie).

Od ideału tego dziś jeszcze jesteśmy dalecy! Popelniamy wciąż błędy krzyczące odnośnie do interesów przyszłości. I żadna ze stron płci obojga nie jest tu bez grzechu. Kultura niewolnictwa duchowego zrobiła swoje, zwłaszcza w stosunku do kobiety. Drzemią w niej wielkie moce, ale jeszcze drzemią; dzień przebudzenia powolnie nadchodzi.

Wiązkę prawd gorzkich rzuciła w tym względzie niewieściemu światu znakomita kobieta, Klementyna Royer, w liście swym do jednej z koryfeuszek ruchu kobiecego.

„Kobieta jest dziś, mówi ona, więcej niewolnicą siebie, niż mężczyzny. Dziedziczne powijaki jej własnych (?) przesądów krępują ją w pierwszym rzędzie i usposabiają często wrogo nawet względem tych, którzy ją chcą wyzwolić.

„W tej potulnej trzodzie Panurga każda owca czuje się obowiązana do pędu po ścieżce ubitej przez inne i przeraża się osamotnieniem, jeżeli tylko oddzieli się od stada! Dzień, w którym kobiety uświadomią sobie, że właściwie one same (?) tworzą tę opinię, która jest ich kodeksem i że od nich tylko zależy zmiana takowej, dzień ten uczyni je tem, czem być

zechcą i da im możność rozwinięcia wszystkich władz swoich. Niewolnice sugestyi, przekazywanej z pokolenia na pokolenie, ulegają jej, narzucają ją synom swoim. Nie można się dziwić tedy, iż odnajdują ją u mężów swoich.“

W powyższym akcie oskarżenia jest wiele prawdy, lecz tkwi w nim, zdaniem naszym, jeden błąd. Kobieta mianowicie za mało żyła dotąd pełnią swego indywidualnego życia, iżby można było, z czystym sumieniem „powijaki przesądów“ lub „kodeksy opinii,“ jakim podlega, składać na karb jej własnej twórczości. Kulturowano w niej, pracą wieków bierność sztuczną, wtłaczano ją przemocą we wszelkie możliwe futerały niewolnictwa, krępowano ją powijakami narzucanej im z góry opinii cudzej, aż osiągnięto cel zamierzony—zredukowania mianowicie całej olbrzymiej skali indywidualności kobiecej—do roli nakręcanej ręką mechanika pozytywki.

Jak było przed wiekami, nie wiem, dziś jednak obserwacją własną, na której polegamy, widzę w tej mierze cały smutny stan rzeczy. Nie ręczę, czybym na palcach obu rąk moich doliczyć się na dziś mogła szeregu tych pionerek przyszłości, które zerwawszy z rolą „pozytywek,“ są sobą, nie zaś echem cudzego głosu, instrumentem pod dłonią wprawno-go mniej lub więcej wirtuoza-mężczyzny. Ogół kobiecy dziś jeszcze nie żyje życiem własnym, nie myśli myślą własną, nie czuje nawet własną zdolnością uczuć. Wszystko w nim niemal zmechanizowane, narzucone, wypaczone, wynaturzone, kalekie, odlane na modłę figur woskowych, mających wszelkie pozory życia, prócz jego treści, prócz własnej indywidualizowanej, myślącej, a czującej duszy!

Nie „tworzą“ one opinii, lecz sankcyonują ją bezmyślnością własną i utrwalają wcieleniem w życie swe komunalów, najoczywistszych fałszów, przesądów i opinii. Z gorliwością, godną lepszej sprawy, powtarzają przez wieki „za panią matką pacierz,“ na własny, indywidualny kąt widzenia rzeczy zdobyć się nie będąc w stanie, *wobec uspienia wszelkich władz czujności swej duszy.*

Słusznie też spostrzega cytowana przez nas na wstępie autorka, iż „trzeba było wiekowego niewolnictwa kobiety, żeby ją tak usposobić, że nawet dziś jeszcze sama w piersi się bije i przyznaje do win, których wcale na sumieniu nie ma.“ Bo czy nie tak bywa? Straszna, potworna, zabijająca kulą u nogi najżywotniejszych interesów cywilizacji jest bo taki automat-kobieta!

Cofa je ona wstecz nieuniknienie, fatalnym ciężarem swej wagi gatunkowej, pozbawionej energii twórczej. I dlatego to linia, po której kroczy do dziś dnia postęp społeczeństw, jest linią zygzakowatą, sztuczną, pełną zgubnych odskoków od praw przyrodzonych, od celów życia społeczeństw człowieczych, „z ducha Bożego“ biorących swój początek.

Porozumiejmy się: na czem mianowicie polega błąd takiego stanu rzeczy? Czy, jakby to wnioskiem pospiesznym uogólnić można, udział pierwiastku twórczego mężczyzny, którego kobieta jest echem, miał być tak, z natury już, zgubnym dla interesów postępu, dotychczasowy zaś ten pan świata tak z gruntu omylnym w dziełach swoich, iż wypełnia-

nie woli jego czynnej przez bierną akcję kobiety, do ujemnych w skutkach rezultatów zawieść tylko może?

Wniosek podobny byłby wszakże jedynie logicznym absurdem. Na ocenienie tego zbyt wielkim filozofem nawet być nie trzeba; prosty, zdrowy rozum potemu wystarczy.

By znaleźć przyczynę złego, należy „zstąpić do głębi,“ powierzchowne ferowanie wyroków jest dziełem tej fali życia zewnętrznej, której źródła szukać trzeba daleko i głęboko, pomimo widocznych dla oka przyczyn niesionej przez nią piany.

Życie wszelkie, życie jako takie, jest wykwitem harmonii. Harmonii dwu pierwiastków, syntezujących się z sobą w rezultacie ostatecznym. Bez tej koniecznej, przyrodzonej syntezy, jako *produktu działania dwóch sił w stosunku równomiernym*, nie byłoby równowagi, będącej podścieliskiem harmonii *normalnie* rozwiniętego życia w potencji wiekuistej, twórczej.

Z drugiej strony—zrozumiałą jest rzeczą, iż wszelkie naruszenie równowagi grozi ruiną w rezultacie ostatecznym, całym zaś szeregiem gróźb cząstkowych w czasie, gróźb będących zwiastunami katastrofy końcowej, nieuniknienie fatalnej.

Na tej zasadzie przychodzimy do wniosku, iż życie społeczne ludzkości, fundowane na podstawie przewagi jednego z dwu pierwiastków (męskiego) kosztem drugiego (żeńskiego), lub *vice versa*, wydać może jedynie rezultaty ujemne, dla interesów cywilizacyjnych zgubne i bardzo dalekie od wcielenia w siebie tej harmonii, jaka jest podstawą pierwiastku doskonałości, bez którego niemasz postępu.

Oto jest racja, dla której, jeżeli nawa cywilizacyjna ma iść po linii właściwej sobie—ku wyżynom społecznego i duchowego życia ludzkości, kobieta winna być *sobą*, to jest *tworem Bożym*, nie zaś kreaturą człowieka!

Dopiero przy pełnym, naturalnym rozwoju, przy doskonałym zindywidualizowaniu się w sobie tak kobiety, jak i mężczyzny, przy rozwinięciu ze strony obojga swych przyrodzonych władz twórczych, obok *normalnych* wpływów wzajemnych, dopiero wówczas łono ludzkości poczuje w sobie te pierwiastki nowego życia, te dreszcze święte, które będą zawiązkiem wielkich ideałów prawego człowieczeństwa.

Dziś jeszcze wpływ obustronny przedstawicieli obojga płci o całe niebo odbiega od tych wskaźników przyszłości.

Mężczyzna zdemoralizował, wynaturzył kobietę, urabiając ją na modłę egoistycznych widoków swoich, kobieta oddaje mu to nierządkiem z lichwiarskim procentem i oboje w jakimś potwornym wyścigu obustronnym obniżają swój poziom duchowy, tracą drogie siły na walkę wzajemną, miast wejść w siebie i urosnąć w duchu.

Ten stan rzeczy, przyznać trzeba, idzie już dziś ku lepszemu; ze strony płci obojga budzi się wielkie poczucie potrzeby poprawy wiekowych błędów obustronnych, wielkie ich uświadomienie, niemniej uważać sprawę walki kobiety już na dziś za „przebrzmiałą,“ jest rzeczą ze wszech miar i względów jakże niezmiernie przedwczesną!

M. Cz. Przewóska.



## POGADANKI PEDAGOGICZNE

Narcyzy Żmichowskiej,

w opracowaniu

Wandy Żeleńskiej.



## X.

Rozmaitość poglądów na naukę historii.—We wszystkich systematach rozgrywa się kwestya konieczności i wolności.—Prawo Boże.

Historyk i badacz wytworzyć sobie muszą odrębną zasadę, chcąc się rozpatrzyć przynajmniej w głównych zasadach historycznych, chcąc wszystko objaść, zrozumieć i według własnej zasady ocenić. Gdy zasada historyczna jest przedmiotowa, obiektywna, zasada piszącego lub studującego historię bywa podmiotową, subiektywną. Różnica między temi zasadami jest taka, jaka zachodzi np. w gramatyce, między rzeczownikiem i przymiotnikiem. W takich zasadach podmiotowych panuje jaknajwiększa dowolność i rozmaitość, zupełnie od osobistości zależna. Jedni piszą historię kronikarską *dla pamięci*, czytana jest ona przez *ciekawość*; drudzy piszą *dla uczucia*, dla *wstawienia* lub *potępienia*, tę znowu czytają dla *wrażen*. Inni jeszcze piszą *dla sądu*, orzekając, że to złe było, a to dobre;—ludzie czytają dla *doświadczenia* „kiedy było wtedy, trzeba tak i dziś robić“ etc., etc.

Historja jest istotnie doświadczeniem całej ludzkości, a jednak uczenie się jej dla nabrania doświadczenia byłoby dzieciństwem. Doświadczenie z historii nie może nas bogacić na teraźniejszość i jeśli je weźmiemy za przepis postępowania, źle wyjdziemy, bo żaden moment do drugiego podobnym nie jest, ale jest rozwinięciem i dalszym ciągiem pojęć, wrażen. Historja pisze się z wyrozumieniem *zasad*, z rozjaśnieniem skutków i przyczyn; nie nauczy człowieka jak robić należy, bo doświadczenie nigdy na obecność nie wystarcza, nawet w życiu jednostki, ale rozwija pewną wprawę w działaniu i wskazuje, jak rozumem wyprowadzać wnioski. Doświadczenie więc rozwija zdolności człowieka, obznajmia nas z inwentarzem naszego historycznego dziedzictwa, daje poznać zasoby uzdolnienia, warunki życia, drogę ubieżoną w pewnym kierunku i wspiera nas w pracy do osiągnięcia celu naszego wiodącej. A jednak, chociażby kto najlepiej przeszłość rozumiał i sądził, może w teraźniejszości się mylić, źle działać. Gdybyśmy doświadczeniem nauczyć się czego mogli toby się rozwinął mechanizm życia, a tymczasem powinna się rozwijać twórczość, starcząca na improwizowanie życia. Zyskujemy materiał dalszego tworzenia; doświadczenie rozbudza w nas zdolności.

Wyrażając się o starcu np., że jest doświadczony, czynimy to, wiedząc, że nabrał pojęć ogólnych, nie przeto, by w danej chwili miał być nauką drugim. Historja nie jest nauką doświadczenia. Korzyść badań historycznych leży w zakreślonym celu. Jaki cel stawiamy, takie stwarzamy prawo. W pojęciu praw i celów, panuje największa rozmaitość, która się da pod pewne kategorie pod-

ciągnąć. Jedne cele i zasady oparte są na naturze fizycznej świata i człowieka, drugie na umysłowej, na rozumie. Zaczniemy od pierwszych: na człowieku oparte cele, z człowieka wysnute zasady, rozstępują się na dwa działy, jak on sam dzieli się na ciało i duszę. Jedni pojmują człowieka podług ciała, drudzy podług duszy.

Ci, którzy pojmują podług ciała, uznają prawa ciężące nad kosmosem, w odniesieniu do człowieka, uznają wpływ klimatu, położenia geograficznego na uzdolnienie ludzkie. Są to prawa po za człowiekiem będące, boć on nie wysnuł z siebie oceanów, gór, prądów wiatru, łądów. Ci którzy pojmują według ciała, głoszą albo prawo przemocy, prawo silniejszego, fatalizm rasowy, kastowy i rozdział stanów—albo uznają równość zupełną jednostek ludzkich, uwzględniając co im się należy, jak to czynił np. Rousseau w dziełach swoich, twierdząc, że wszystkim należy się równość zupełna w woli, w użyciu. Moralnym skutkiem tej teorii zniesienie przesądów, większe pobłażanie na nieudolności ludzkie, uwzględnienie zasad ogólnych. Teorya ta, raz uznana, wpływa na najdrobniejsze szczegóły; święci ideę konieczności zewnętrznej, a moralnego poddaństwa. Podobne pojęcia, tępią w nas uczucia pochwały i nagany, wywołując obojętność. Dzięki takim pojęciom, rozwinęła się w polityce *zasada granic naturalnych*, a w życiu prywatnym *zaborczość*, *żądza władzy* i *posiadania*. (Najważniejszym dziełem w tym przedmiocie „*Esprit des lois*“, Montesquieu). Jest to rodzaj egipskiego panteizmu, uswięcenie i uwielbienie natury zmysłowej, fizyczności. Uszlachetnionym celem tych pojęć, jest jak najsumienniejsze wyzyskanie natury. Zasady, opierające się na fizycznej naturze człowieka, biorą za normę, że wszystko co na umysł oddziaływa, musi przechodzić przez zmysły. Zpatrując się w ten sposób na człowieka, widzą, że siła jest najwyższą władzą jego, ztąd wnioskuje o przemocę (fatalizm kastowy). Siła rozumu czy pięści, musi panować i zagarniać.

Poganizm w to wierzył, że ostatecznym objawem społeczeństwa, jest siła lub bezsilność, kto rozwinię muskuły, silnym będzie, kto ich nie rozwinię, pozostanie słabym. Kto się rozwija wysoko, w jakimkolwiek kierunku, zdobędzie siłę i panowanie. Prawem uzasadnionem jest, że człowiek sił swoich używać powinien na spełnienie obowiązku i dopięcie celu. Teorye uswięcające siłę, widzą, że natura zawsze jest ta sama; grunt, pierwiastek ten sam. Człowiek może być szczupłym czy otyłym, ale będzie się składał z krwi i kości. W umysłowej sferze tak samo, może być głępszym albo rozumniejszym, ale ma też same władze, każdy ma częśćkę zdobytej prawdy. Na zasadzie tożsamości, zapanują prawa siły i przekonanie, że silny ma prawo do najwyższości, ponieważ spełnił swój obowiązek, wyrabiając w sobie *siłę*, byle jej nie użył do przemocy. Ci, którzy opierając się na teorii tożsamości, widzą, że w naturze fizycznej każda rzecz z jednychże składa się pierwiastków, również i w świecie umysłowym widzą wszędzie te same władze, mniej lub więcej wyrobione. Z tej teorii wyprowadzają zaprzeczenie prawa siły, a stawiają prawo bezwzględnej ró-

wności. Celem jest, aby ludzie nie działali jak chcą, jak im się podoba, lecz *jak powinni*. W zasadzie tej tkwi niezawodnie wielka częśćka prawdy, o ile teorya ta ma pożytek, na względzie, bo pożytek, sam przez się, ważną częśćkę prawdy stanowi. Pożytkiem można mierzyć każdą pracę ludzi, każde przedsięwzięcie, usprawiedliwia się o tyle, o ile jest użytecznym. Teorya równości ze względu na pożytek, jest uswięceniem siły etc., głównie wyrabia się w Anglii. Zrozumiało to społeczeństwo angielskie, że pożytek może być niezależnym od równości, tam bowiem panuje największa nierówność, rozgraniczenie położenia socyalnego, arystokracja; lecz każdy tam broni praw swoich i potrzeb. Lord i rzemieślnik wiedzą co sobie dłuźni, więc jest pojęcie pożytku z wyzwoleniem równości.

We Francji, teorya na dokładniejszej równości oparta, chce, by człowiek w człowieku widział równego. Rousseau z poświęceniem pożytku nawet chciał zwalić pracę cywilizacji, dla wywalczenia prawa równości. Nie pozostało to mrzonką, bo zasada weszła w życie, w krew narodu francuzkiego, a Rewolucya francuska dla równości najwięcej ofiar poniosła; dla niej chwilowego pożytku się wyrzekła i straszne przeszła cierpienia. Teorya równości zniosła przemoc, bo uznała ją nadużyciem. *Równość*, jest najwyższą formą wolności.

Gdy więc jedne zasady uznają objawienie woli Bożej i prawa Bożego w człowieku albo nad człowiekiem, twierdzą, że Bóg Pan i Rządca świata kłęski i pomyślności dowolnie rozdziela, tak, że człowiek przewidzieć nie może nawet, dlaczego go dosięga cierpienie lub pociecha, drugie dowodzą, że wszelkie zdarzenia są po sprawiedliwości, karą lub nagrodą. Czytając historję Izraelitów, widzimy, jak się wszystko na zasadzie tej sprawiedliwości rozwija—na zasadzie tej sprawiedliwości rozwijają się dogmatyzm i pojęcie o powinności. W wiekach średnich znajduje ona zastosowanie w całym prawodawstwie ówczesnem.

Wola Boża jest *jedna*, więc niema różnicy systematów; celem—nagroda Boża na tej ziemi lub w przyszłości. Zasady te opierają się więc na Bogu i odnoszą się do prawa Bożego, a ponieważ praw Bożych więcej niż jedno (choć we wszystkich prawda jedna), tu więc zachodzą różnice.

Natura ludzka złem użyciem woli upadła, ale gdyby w skutek grzechu ród ludzki *woli* się wyrzekł, zmarniałby też niezawodnie. Otóż wola Boża wyraża się wolą ludzi wybranych. Ostateczną doskonałością tej teorii posłuszeństwo, ład i porządek. Bóg jest rządcą, człowiek posłusznym stworzeniem.

Podług innych, objawieniem prawa Bożego jest rozum człowieka. Spoglądając po za siebie, widzi się ład; wszystko co było, stać się musiało; a co jest, jest rozumem, bo inaczej istniećby nie mogło. Bóg się objawił kolejną tworów, a w końcu w człowieku świadomością, dlaczego i na jakiej zasadzie ma się co stać?

Prawo Boże jest zawsze takim, jakim je rozum pojmuje; pojęcie rozumu rozwija się podług prawa Bożego. Bóg jest najwyższą logiką. W zasadzie tej tkwi niebezpieczeństwo, że niektórzy pojmują prawo Boże z odcie-



niem panteistycznym. „Wszystko co jest, jest rozumne.“ Panteizm zaś, poświęca człowieka dla idei, trzyma go niejako w pętach, a przeciwieście kto uświęca rozum, ten powinien i wolność uświęcić. Przeciwnie widzimy absolutyzm prawa objaśniający się np. w rządach dożów w Wenecyi, w rządach niemieckich, które doszły iż rozum, jest najwyższością, ztąd absolutyzm ludzi uzdolnionych (Niemcy—Hegel). Rozumnijsi mają prawo nad mniej rozumnymi, wraca się więc do kastowości i usprawiedliwia wszelkie kombinacje polityczne (Napoleon I-szy \*). Francuzi, mimo, że dążą do równości, w teoriach rozwijają absolutyzm. (Fourier, St. Simon, Prudhom)—przeprowadzają plany uszczęśliwienia ludzkości. Według ich przepisów, natura ludzka urządzić się powinna odpowiednio do ich teorii, którym koniecznie poddać się musi. I tu więc niewola i tu absolutyzm partii politycznej, wobec której człowiek, jednostka ginie!

W tych wszystkich systematach i teoriach rozgrywa się stosunek *konieczności* do *wolności*. W panteizmie, w dogmatyzmie wolność jest zaprzeczana. Wszelka teoria despotyczna znosi wolność, albo jako zupełnie nie mającą rzeczywistości (w panteistycznych zasadach niemieckich filozofów i w fatalizmie Muzułmanów np.), albo też uważana jako grzech, jako niepoddanie się woli Bożej. Gdy każde zdarzenie z woli Bożej powstaje, a zdarzeń więcej smutnych, aniżeli wesołych, bo życie przeplatają bolesne fakta śmierci lub choroby ukochanych i rozmaite przykrości, zawody, nieszczęścia, więc zsyłanie nieszczęścia Najwyższości prawem, a obowiązkiem człowieka, rezygnacya. Alboż możemy ustrzedz się od boleści, alboż możemy uciec przed śmiercią, czarnym lub białym uczynić jeden włos na głowie naszej? Czy możemy przydać choć łokieć do naszego wzrostu? Nie możemy! W nas tkwi tylko zdolność przyjęcia losu spokojnie lub niecierpliwie; szarpanie się — jest grzechem szaleńców, poddanie woli naszej prawom wyższym—zasługą i zbawieniem! Jest to wielka prawda, ale tylko na pewne chwile życia osobistego, nie na życie wiekowe w dziejach i w nieskończoności. Prawdą jest i konieczność w prawie Bożem tkwiąca i wolność człowieka. Prawo Boże jest koniecznym, *bo jest*. Konieczność ta jak jest, tak być musi; słońce musi świecić, bo jest słońcem; ziemia musi koło słońca krążyć i t. d.

Zatem konieczność istnienia, jest pierwszą zasadą, drugą prawo Boże, będące również koniecznością, jako skutek względem przyczyny i przeciwnie, nawzajem w skutkach objawiają się dalsze przyczyny; prawo przyczyny i skutków jest niechybnem i nieomylnem. Gdyby cofnąć prawo, cofnęłyby się i warunki istnienia, zmieniłoby się wszystko, światło przestałoby świecić, człowiek byłby czemś innym może, ale nie byłby człowiekiem. Prawo Boże jest powtarzamy jako skutek do przyczyny i jako przyczyna do skutku; każda przyczyna niezawodnie odpowiednio wyda skutki. Ale właśnie te dwie cechy konieczności są rękojmnią wolności człowieka. To co jest, jest prawem Bożem! Otóż w losie ludzkim jest także szczęście obok cierpienia. Obok

niemocy, obok niemożności zewnętrznej, jest możebną przeciwieście siła woli, wolność—możebną, a więc uprawnioną. Prawo Boże, to dobro najwyższe, to mądrość i świętość. Ztąd zadaniem i celem wolności, aby stała się mądrą, aby dobro i mądrość osiągnęła, aby się stała *wolą* taką, jaką jest wola Boża, w niebie i na ziemi. Prawo nieomylności ciąży tylko z przeszłości; co się stało musi być,—co się stanie—dziełem przyszłości. Co się staje wskutek tego, co w przyszłości się stało, jest zdarzeniem, ale jako wrażenie, to już od nas zależne; przekształcamy to na złe lub dobre.

Kiedy więc wolność jest uznaną i zatwierdzoną, jakże ją z prawem Bożem pogodzić? Jak wiemy, wolność jest połączeniem wolnej woli z możliwością czynu; wola i możność, są częściami składoweni wolności, jako wola jest podmiotowa, jako możność, przedmiotowa. Wola wtenczas jest wolną, gdy na niej żaden przymus nie ciąży; krępowaną i tamowaną bywa, tak zewnątrz nas, jak i wewnątrz. Przyczyną tamującą wolę, jest własne nasze niedołęstwo, słabość, która może być za klectwo moralne uważaną. Drugą przyczyną, równie szkodliwą, jest rozpraszczenie woli, skierowanie jej naraz ku różnym, przeciwnym sobie celom. Siłę woli, stanowi jej skupienie, spromienienie ku jednemu celowi; wola rozproszona, jest dowodem zmaconych wyobrażeń w człowieku, gdyż człowiek wiedzieć powinien, czego żądać warto i na takie skupienie woli powinien zapracować, za jej pomocą cudów dokazać można! Trzecią przyczyną wolę tamującą, jest przymus namiętności i przymus ciemnoty, najokropniejszy ze wszystkich nacisków.

Namiętność człowieka, to skłonność wynikająca z jego potrzeby wewnętrznej. Jedni twierdzą, że ona prawem człowieka, że każda potrzeba człowieka musi znaleźć zadośćuczynienie w świecie zewnętrznym; że czego człowiek gorąco zapagnie, to może zaspokoić prędzej czy później. Każde zadośćuczynienie, cieszy człowieka, sprawia mu przyjemność, tylkoż nietylko zadośćuczynienie przyjemności brać za zadośćuczynienie potrzebie, bo to by mogło spowodować nieporozumienia. Nad wyłącznymi pragnieniami wola panować powinna, obejmując pod swą władzę wszystkie skłonności, może je dopiero do swego celu użyć. Więc dlatego wola musi się otrząsnąć przedewszystkiem z wpływów namiętności i wiedzieć jasno jaki ma zamiar powziąć i jak go wykonać? W namiętności wola nigdy nie jest wolną, zostając pod wpływem fizycznej natury. Namiętność jest chorobliwie narosłą skłonnością, jest tem, od czego człowiek nie może się powstrzymać, jest więc niewolą \*). Widzimy w człowieku działanie na-

\*) O tym przymusie namiętności strasznie wiele pisano, rozprawiano, na różne trafiając teorie. Byli tacy, którzy namiętności chcieli uprawnić i do ich rydwanu wolę człowieka wprzegnąć, dowodząc, że one prawem człowieka, że powinien swęj woli używać na zadośćuczynienie namiętnościom. Jest to prawdą o tyle, że każda wyraźna skłonność wywołuje potrzebę zaspokożenia. Ale wspominaliśmy już, że nad wszystkimi skłonnościami i upragnieniami musi panować wola, a miarą ceniienia wartości naszych czynów, jest prawo Boże i prawda przedwieczna. Święty Augustyn powiada, że każda namiętność jest karykaturą jakiegoś rysu naszego podobieństwa z Bogiem. (Naprzykład: Bóg jest wszechmocnym, człowiek jest

tury, objawiające się przez nerwy, rozdrażnienie; wola zawisła od tych przyczyn, chwieje się jakby za powiewem wiatru. Panowanie namiętności w historii, jeszcze jest straszniejszą niewolą. Azja, Afryka dowodzą, do czego doprowadzić może namiętność, niepodlegająca woli. By uniknąć tych skutków, zapanować nad namiętnością i wiedzieć ku czemu wolę skierować, trzeba się otrząsnąć z ciemnoty i niewiadomości. Chcieć tego, co się nie godzi, równa się temu co niewiedzieć czego się chce; dojsć do tej świadomości niepodobna, póki nie zdamy sobie sprawy z ostatecznego celu życia naszego, z najwyższego dobra. Doszedłszy raz do poznania tego celu, każdą skłonnością naszą możemy się ku jego osiągnięciu posługiwać. Cała skuteczność woli na tej świadomości zależy.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wanda Grot-Bęczkowska.

## JAK SEN...

NOVELLA.



Siedzieli oboje zadumani, prawie nie patrząc na siebie.

On grał etiudę Chopinowską wolno, jakby bezmyślnie, opóźniając takty, ona, otulona ciepłym szalem, wpatrywała się w dogorywające na kominku ognisko.

Wicher szalał za oknami. Rzucając o szybki płatkami śniegu, tworzył na nich koronkową mozaikę o niezmiernie delikatnym rysunku.

Witold z dziwnym uporem zwracał wzrok ku oknu. Ona to zauważyła.

— Jak szybko nikną te śliczne rysunki na szybach...— rzekła, powstając.

— Jak szczęście, panno Karo... — cierpko odpowiedział.

— To prawda! — szepnęła.

Nie zdając sobie sprawy, że już po wielokroć rozpoczynał pierwsze takty etiudy, Witold zaczął ją grać znowu.

pysnym. Bóg jest źródłem i celem miłości, człowiek staje się samolubem, chce być jako Bóg, sam dla siebie kochanym. Bóg jest sprawiedliwy, człowiek bywa gniewnym, okrutnym. Gdy więc namiętności, te niekarne siły, rozwijają się w duszy człowieka, muszą na której z władz jej zaciążyć, a tem samem i wolę ograniczyć. Wola — ta najosobistsza osobistość człowieka, smutno się przedstawia, zważywszy, że na nią może podziałać byle patologiczne krwi zakipienie, gdy ją byle drgnięcie nerwu, jak harfę eolską porusza. Że zaś to wszystko wiele od wpływów powietrznych zależy, a krew, nerwy i mięśnie ściągają się lub rozciągają, tężeją według pogody, słoty lub innych atmosferycznych czynników, więc taka od wrażeń i namiętności zawisła wola, prawdziwie zawisła była od wiatru, co wieje. Że tak bywa często, widzimy w indywiduach i w ludziach zależnych od spiekłego słońca Afryki np., lub od zimnych płaskogórów Azji. Czy można sobie wystawić bardziej przerażającą niewolę? *Nie móż się powstrzymać*, w indywiduach, to znaczy *nie móż się ruszyć* w narodach. „Nie móż“ zresztą, w poczuciu tego jednego wyrażenia leży najdokładniejsze znaczenie w jaki sposób namiętności działają na wolę. Niema biedniejszego Murzyna, bezmyślniejszej lokomotywy, nad człowieka, któremu namiętności skrepowywały wolę. Prędzej czy później rozbić się musi o to, czego unikał.

\*) Absolutyzm towarzyskich stosunków we Francyi.



Widocznem było, iż te kilka taktów wiąza się z jakimś wspomnieniem.

A ją to tak denerwowało.

Więc przechadzając się gorączkowo po salonie, przystawała za jego krzesłem, otwierała usta, aby coś powiedzieć, ale mroził ją chłód, jaki wiał od niego, i milczała. Tylko oczy jej ocienione długą, ciemną rzęsą, obejmowały pieszczośliwym spojrzeniem pochyloną głowę grającego, ślizgały się po wysmukłej postaci i smutniały bardziej jeszcze.

— Panie Witoldzie...

— Co pani rozkaże?

— To było boskie, co pan grał przed chwilą, ale jabym wolała „Marsza żałobnego“ — ozwała się wreszcie.

— Aby panią więcej jeszcze „nastroił?“ Nie z tego!

Potrząsnęła głową niechętnie. Gęste, o złotawym połysku włosy, przy poruszeniu tem opadły na czoło gładkie i białe, młode czoło ośmastoletniej dziewczyny bardzo nerwowej i bardzo inteligentnej.

Nerwowość ujawniała się w każdym jej ruchu, w wyrazie ust pięknie zarysowanych, ale o kolorycie bladym, w niespokojnych, szaro-zielonych oczach, osadzonych głęboko.

W ciszę wieczoru wpadały teraz rozpaczne dźwięki. Witold z jakimś dziwnym zapamiętaniem powtarzał etiudę raz, drugi, i jeszcze, i jeszcze...

Kara bladła; posępnym ogniem płonęły jej oczy. Może nie umiałyby zdać sobie sprawy z uczuć, jakie nią miotały, ale ból czuła. Coś ją popychało to do okna, to do fisharmonii rozelkanęj tonami, to wreszcie do kominka, gdzie błękitnym płomykiem ślizgał się tu i ówdzie dogasający ogień.

— Czy pan nie uważa — rzekła, stając nagle przed Witoldem, — jak dziwnie Chopin przeczuł chwilę obecną. Utwory jego, dostrajają się znakomicie do dzisiejszych nerwowych usposobień. Prawda?

— *Tek!* — rzucił niedbale.

— O, nic nowego! — skrzywiła się Kara. — Już hrabia-Anglik z „Lalki“ Prusa, kokietował tem „*tek!*“

— Nie zaprzeczam. Ale co dalej? Niech pani kończy. Więć Chopin...

Otuliła się szczerze miękkim szalem, którego ciemna barwa uwydatniała błądź jej twarzy.

— Niech pan sobie przypomni etiudę *Cis-moll* naprzykład... Jest w niej ból krańcowy. Tak cierpieć mogą tylko ludzie terazniejsi, przeczuleni, rozstrojeni. Jak ból, to już niema miejsca ani na pociechę, ani na rezygnację. Jedyna rozkosz rozdrapywać ranę... Miłość, rozpacz, wszystko krańcowe.

Ruchem pieszczośliwym zsunęła mu z klawiatury ręce i szczupłymi palcami uderzyła pierwsze takty.

Witold szybkim rzutem odsunął się wraz z krzesłem w przeciwległy kąt salonu.

— Polowanie na efekt... — mruknął tak cicho, że nie dosłyszała.

— Co pan mówi?

— Nic. Nie lubię tej etiudy.

— A ja nie lubię tej, którą pan grał przed chwilą.

— Pani jest tylko kobietą. To co pani „bo-

skiem“ nazywa teraz, za chwilę wyda się pani nędzotą, marnidłem...

Kara odwróciła się zdumiona. Spojrzeli sobie w oczy. W jego wzroku widniał sarkazm, w jej oczach gniew tłumiony. Grała dalej.

Witold roześmiał się.

— Jakże pani po babsku traktuje Chopina — rzekł. — Taka interpretacja nie ilustruje bynajmniej ducha czasu, jak to pani przed chwilą dowodziła.

Zerwała się wzburzona.

— To wina instrumentu, który się do tej etiudy nie nadaje. Zbyt klasyczny.

Witold przysunął się do fisharmonii i otworzywszy wszystkie rejestry, uderzył całą siłą w klawisze.

Jak zgrzyt zabrzmiała polka „Pogotowie.“

Kara wzdrygnęła się.

— Nie wiedziałam, że pan niekiedy potrafi być trywialnym.

— Specjalnie dla pani.

— Ach, ileż pan tych specjalności posiada wyłącznie dla mnie...

— *Tek!* — uciał krótko i popatrzył na nią lekko zmrużonymi oczyma. — Panno Karo, niech mnie pani nie nudzi, bo odejdę...

Powiedział to miękko, tonem rozkapryśzonego dziecka.

Lęk miała w duszy aby nie odszedł, ale chcąc zamaskować swoje uczucia, przysunęła się do okna i obie dłonie przyłożywszy do szyby, spoglądała na gościniec śniegiem zawiany.

Po chwili zwróciła się ku niemu.

— Jeszcze pan nie odszedł?

Rozgniewał go chłodny jej ton. Porwał się szybko i podając jej końce palców, rzekł:

— Do zobaczenia się!

Bezwiednie, uściśnęła goręcej spoczywającą w jej dłoni rękę.

— Taki śnieg pada... — szepnęła. — Czemu pan koniom przyjsć nie kazał? A może Bolesław pana odesłał?

— Pójdę... — odparł stanowczo.

— To przynajmniej niech pan poczeka... — prosiła. — Może śnieg przestanie...

— Nie! Nudzę się... Do widzenia!

Wyszedł.

Kara uczuła nagle zimno. Nasunęła szal na ramiona i wzrok smutny posłała w dal...

„Pragnąłem to jedno serce mieć  
Jedyne, ale moje...“ —

powtórzyła z bólem słowa poety.

Śnieg coraz grubszymi płatami spadał na ziemię. Gościniec biegnący ku lasowi, zrównał się z polem. Białe, białe, białe...

Ogarnia ją trwoga.

Pod lasem, jak gwiazdki mrugają drobne światełka w jego folwarku. Boże! Jakież to upór! Tak daleko, tak wietrzno, zimno i drogi wcale nie widać.

Ale dość było wspomnieć, iż się o niego lęka, gdy pieszo codziennie prawie odbywa tę wędrowkę, aby od jej brata koni nie przyjął i swoich oszczędzał.

Drzwi skrzypaneły cicho.

— Proszę panienci na wieczór...

Odeszła od okna.

Podjąwszy z fotela czarnego, śpiącego kota, zarzuciła go sobie na ramię.

— Kiziu moja... — szeptała. — Tyś najwinniejsze, najlepsze stworzenie...

Różowy pyszczek kota przytuliła sobie do twarzy.

Idąca przodem pokojówka, otworzyła drzwi stołowego pokoju. Kara została już wszystkich zebranych przy stole.

Nagle stanęła. Powieki jej zadrgały nerwowo. Przy stole, obok Emilki tryskającej zdrowiem i humorem, siedzi Witold wesół, rozba-wiony. Rozfiglowanemi oczyma kokietuje siedzącą przy nim dziewczynę.

Gdy weszła Kara, spojrział nieznacznie w jej stronę.

Nie dostrzegła tego. Usiadła chmurna naprzeciw niego i zwracając się do służącego, rzekła:

— Herbaty!

— Próbką stylu ucinkowego — zabrzmiał głos Witolda.

Milczała. Nie jadła, piła tylko herbatę.

Naprzeciw niej, Emilka flirtowała zawzięcie z Witoldem. Urokowi wesolej dziewczyny poddawał się chętnie, a Kara powtarzała sobie w myśli:

— Nie szkodzi. Cóż mnie to może obchodzić?

Ale cierpiała. Czuła się taką obcą w tem gronie zdrowych i wesółych ludzi. Taką obcą!

— Bolku! — zawołała Emilka, zwracając się do gospodarza domu. — Każ założyć konie dla pana Witolda. Zawieja się wzmaga, światła prawie nie widać.

— Ale któż pani pozwala rozporządzać moją osobą? — śmiał się Witold.

Nawyki do ulegania siostrze pan Bolesław, wydał już odpowiedni rozkaz.

Kara zagryzła usta. Z jednej strony czuła radość na myśl, że niebezpieczeństwo samotnej w taki straszny wieczór wędrowki, zażegnane zostało. Że się to stało jednak za sprawą Emilki, wprawiło ją w stan niezwykle rozdrażnienia.

Wybiegła z pokoju, zostawiając wszystkich jeszcze przy stole.

Gdzie się schronić, gdzie uciec, byle od ludzi zdala... Widok ich denerwuje, śmiech bezmyślny doprowadza ją nieledwie do szału.

Bo i czego oni się śmieją? Ta bezmyślna Emilka naprzykład...

Lubiła tę dziewczynę, chowały się nawet razem i blizkie węzły pokrewieństwa je łączą... Od pewnego czasu nienawidzi jej... Za co? Dlaczego? Nie wie...

Stanęła przy oknie i rozpalone czoło przycisnęła do chłodnej szyby.

— Dobrej nocy, panno Karo! Przyjemnych marzeń życzę... *Tek!*...

Radość zalała jej twarz ślicznym rumieńcem.

— Dobrej nocy! — szepnęła. — Myślałam, że pan już pojechał!...

— To pani źle myślała... — powiedział na pozór niedbale, ale miał w głosie oddźwięk serdecznego uczucia. — Spać, hardy dzieciaku! Dobrej nocy!

Odszedł.

Kara westchnęła głęboko.

... to jedno serce mieć,  
Jedyne, ale moje... —



powtórzyła znowu z pragnieniem namiętnem i wyteżała słuch, goniąc oddalający się szelst jego kroków, wyteżała oczy, dopóki tylko na białym gościńcu odcinała się sylwetka Witolda.

\* \* \*

— Karusiu, proszę cię, obejrzyj moją suknię... Chciałabym dziś wyglądać...

— *Meta*...— przerywa szybko Kara.— Istotnie bosko ci w tym kolorze. Ale co mnie to może obchodzić?

Emilka wzruszyła ramionami.

— Wiesz przecie, że gości mieć będziemy.

— Wszystko mi jedno.

Kara pogładziła uspiętego na kolanach kota, jakby zaakcentować chciała, iż więcej dba o niego, niż o gości i wszystko, co ją otacza.

— Karo, obudź się! — woła Emilka, stając przed nią.— Wszak i ty chyba w tej czarnej szacie nie będziesz prezentować się gościom.

— Będę.

— Oczywiście. *Meta* kolor, *meta* uczesanie, *meta* miny, jednym słowem cały wygląd: *meta* — wybuchnęła zniecierpliwiona Emilka.

— Jakażes ty nieznośna, Karo!

— *Tek!* — uśmiecha się Kara.

— Ach, zdradziłaś się, o kim myślisz. Nie cierpię Witolda z tem jego wiecznem: *tek*...

— Bardzo mu z tem do twarzy—zapewniła Kara. — Nie zaprzeczysz, że on ci się podobna. Chętnie z nim flirtujesz...

Emilka zrobiła pogardliwą minę.

— Na bezrybiu... Znasz przysłowie? Ale ja ci przypomnę, Karo, że czas tracisz na próżno. Wiesz przecie, że on zaręczony. A chociażby nim nie był, to jakaż pewność szczęścia z takim dziwołagiem?

— Z Karą stanowiliby właśnie parę dobraną — zauważyła pani Marynia, zajęta wyszywaniem pantofli dla ubóstwianego małżonka.

— „*De gustibus non est disputandum!*...“ Jabym Bolka nie wybrała... — odcięła się Kara.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## KOBIETY

### na stanowisku inspektorek fabrycznych.



Starania moskiewskiego Towarzystwa polepszenia doli kobiet, co do mianowania kobiet inspektorkami fabrycznymi, szczególnie w tych fabrykach, w których przeważnie pracują robotnice kobiety, uzyskały poparcie ministerium skarbu; wobec czego Towarzystwo ma zamiar na jesieni złożyć motywowany referat, który ma być rozpatrywany w ministerium.

Wobec tego, iż sprawa ta nie jest obojętna i dla ogromnego zastępu naszych robotnic, zatem ciekawą będzie rzeczą dowiedzieć się, jak sprawa ta stoi na Zachodzie (który ciągle jeszcze jest dla nas powagą decydującą), i czy przynosi tam jakie korzyści...

A więc przedewszystkiem położenie robotnicy fabrycznej, według opinii wszystkich mniej lub więcej kompetentnych rzeczoznawców, jest o wiele gorsze, niż położenie mężczyzn.

Składa się na to wiele przyczyn.

Po pierwsze, organizm kobiecy o wiele prędeziej ulega szkodliwemu wpływowi pracy fabrycznej.

Po drugie, kobiety nie uważają pracy fabrycznej za pracę zawodową; dziewczyna widzi w niej jedynie możliwość zapracowania kawałka chleba do zamełczenia, a mężatka patrzy na nią, jako na źródło dodatkowe, pomocnicze dochodu przy dochodzie męża.

Dlatego to mało dbają o polepszenie warunków pracy.

Po trzecie, kobieta jest o wiele mniej (zwyczajnie) wykształconą i bojaźliwszą od mężczyzny.

Ztąd, naturalnym biegiem rzeczy wypływa konieczność specjalnego prawodawstwa fabrycznego dla kobiet, a jednocześnie włączenia do etatu inspekcji fabrycznej osób takich, któreby zbliżka znały sprawy robotnic i mogły w chwilach krytycznych dać im odpowiednią pomoc. Łatwo zrozumieć, że osobą taką w pierwszym rzędzie może być kobieta, wszystkie kobiece dole i niedole dla niej są bliższe i zrozumialsze, łatwiej jej pozyskać zaufanie i sympatyę robotnic, a wreszcie ona i jedynie tylko ona może być kompetentnym sędzią w różnych sprawach fabrycznego bytu robotnic.

Nie dość na tem.

Są wypadki, w których kobieta-inspektorka fabryczna jest tak samo niezbędna i nie do zastąpienia, jak kobieta-lekarz.

Jeśli lekarz-mężczyzna często spotyka się z takimi chorobami, których leczenie połączone jest z zadrażnieniem wstydlivosti kobiecej, to tak samo i fabryczny inspektor nie jednokrotnie napotyka takie wykroczenia, w których poszkodowane nie mogą zwracać się doń o pomoc, jedynie dlatego, że jest mężczyzną.

Uwzględniając rozmaite okoliczności, w wielu krajach Europy Zachodniej zaczynają powoli tworzyć urząd inspektorek fabrycznych.

W Anglii od roku 1895 przybyło 5 posad inspektorek fabrycznych, które stanowią kobiecy departament fabryczny.

Takie same próby robiono w Hessyi, w Belgii i Hollandyi.

W Berlinie i w Monachium w roku 1897 utworzono specjalne kursy dla przygotowywania kobiet do obejmowania posad inspektorek fabrycznych.

W niektórych departamentach Francyi również istnieje kobieca inspekcja fabryczna.

Największa jednak ilość inspektorek fabrycznych przypada na Amerykę, gdzie jest ich w różnych Stanach do dwudziestu.

Statystyka pracy kobiecej na Zachodzie dowodzi, że ilość kobiet pracujących w przemyśle fabrycznym szybko wzrasta.

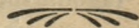
W Niemczech w roku 1882 było 545,229 robotnic fabrycznych, a w roku 1895 było ich już 992,302. Na 100 pracujących w roku 1882 przypadło 87 mężczyzn i 13 kobiet, a w roku 1895—83 mężczyzn i 17 kobiet. W Austrii w roku 1882 było 449,746 robotnic, a w r. 1890 już 585,692, i t. d.

Rzecz prosta, że w miarę dalszego wzrostu liczby robotnic, instytucja kobiet-inspektorek nabierać będzie coraz większego znaczenia i popularności.

Ponieważ i u nas z każdym rokiem wzrasta

ilość kobiet pracujących w fabrykach i zakładach przemysłowych—więc sprawa inspektorek fabrycznych staje się aktualną.

P. W.



## Z listów do „Bluszczu.“



Krynica.

Szesćset metrów nad poziomem morza, to jeszcze nie orłów i skalnych kozic kraina, jeszcze nie blizkie sąsiedztwo nagich szczytów, na których karłowatą limbą zimny wicherszamocze. Ale to już o tyle wysoko nad płaszczyzną ziemną, że dolatują z niej tylko fale ciepłika, któremi wygrzane w słońcu łono karmicielki promieniuje ku wyższym warstwom powietrzni, utrzymując je w łagodnej temperaturze,—nie dolatują zaś już wcale miazmaty bagnisk, dymy kominów, kurzawa ulic, szpitalne bakcylle, wyziewy tych wszystkich rozkładów, które produkują rojowiska ludzkie i zwierzęce na nizinach skłębione. To też pierwsze wrażenie, jakiego się tu doznaje, to czystość, czystość niepokalana i nienaruszona, czystość uatury, nie zbrudzonej przez człowieka. Powietrze—lotny kryształ, woda—płynne kryształy, nawet błoto nie brudne, bo to nie owa lepka, tłusta kompozycya wszech obrzydliwości—błoto uliczne, lecz błoto naturalne—czysta ziemia, rozczyniona czystą wodą, która po wyschnięciu i strzępieniu odzienia osypuje się z niego, jak szary proch, bez zostawienia po sobie śladu.

A i deszcz tutaj nie... no, tak znów sumienie zapewnić nie mogę, że nie mokry wcale; ale że w lot wysycha, to fakt, bo mniejsze ciśnienie atmosferyczne przyspiesza wszelkie parowanie, a górzystość powierzchni ułatwia wód odpływy. Z rana zadmie wiatr pobudkę, zwoła nad dolinę Krynicką z po za szczytów Jaworzyny, Hardego, Husarów siwe stada chmur, te sypną rzęsistym deszczem—i już po godzinie, po dwóch, przepłyną w dal falą tumanów tuż po nad głową, nieraz tak nisko, że ślaniają się po murawie przed werandą, jak para z lokomotywy. Wtedy na chwilę zadzwonią szklane szumy wezbranych potoków, zakipi, zapieni się Kryniczanka po kamieniach swego pochyłego łożyska, zaszemrają, strząsając dżdżu krople z liści, rozłożyste po obu strony alei „deptaka“ kasztany i klony, a po chwili już tylko perłą się rosą bujne trawy na licznych tu łączkach, droga pobłyskuje zwilżonemi kamykami, mokra, lecz nie grzązka, a strugi już uspokojone, znów tylko mruczą nieustannym szeptem swoim — i znów jasno, pogodnie, a przedewszystkiem czysto i kryształowo.

W parku wtedy raj. Smereki żywica dyszą, paruje ziemia wonią świeżo zaoranej skiby, kwitnące zioła pstrzą się, umyte i wyświeżone, ptaszki ćwierkają i trylują, wkoło drga jakaś rzeźkość, pulsują jakieś siły, natura tętni życiem i każe żywiej czuć. Park tućtejszy—to niby las dziki: ma ciemne gąszcze i słoneczne polany, omszone pnie, głębokie wyrwy, ścieżyn zakręty, gałęzi sploty i ciszę głęboką, szumem świerkowych wierzchołków



podkreślona. I nie psuje pierwotnego jego uroku gęsta sieć drożyn świetnie utrzymanych, prowadzących po pochyłych zboczach góry Parkowej, łagodnymi zagięciami coraz wyżej, aż do altany na siedmset czterdziestometrowym szczycie,—bo naturalne piękno jest tu z umiejętnym smakiem wyzyskane, lecz nie zbanalizowane wcale: ten las zamieniono w park, ale ten park pozostał lasem — i oba po swojemu śliczne. Tylko wspiąć się w górę, po paru kondygnacjach drożyn, tylko zawrócić raz i drugi po ich skrętach, a wejdziemy w sferę ciszy, cienia, dziewiczej prawie natury. A zejść trochę ku dołowi, bliżej podnóża góry, siąść między przeredzającymi się świerkami, wnet doleca do ucha śpiewne, rzeźwne echa swojskich melodi, wywoływanych zaczarowaną laseczką A. Wronskiego, wnet zamigoczą przed oczyma przesuujące się na ozdobnym placu między pawilonem źródła a fasadą Dworca zdrojowego eleganckie sylwety spacerujących pań i panien. I tak ma każdy co woli: samotnię albo światek.

Dla osób, którym trudno chodzić po pochyłościach, urządzony jest w połowie góry Parkowej całkiem poziomo zniwelowany chodnik „Sieglera“, biegnący paru-kilometrowym tarasem wzdłuż zajętego przez park południowego stoku góry. Trochę wyżej i trochę ku wschodniej stronie leży także poziomo duża, słoneczna, bujna łąkowa roślinnością okryta leśna polana „Michasiowa“ zwana, a jeszcze wyżej, już prawie u szczytu, znów chodnik płaski, wygodny, horyzontalnie zawieszony na zawrotnej wyżynie po nad całą masą skał lasem porośłych, tworzących łagodne stoki rozsiadłej szeroko góry. Ten park dźwigający się w chmury tarasami wśród masztowych świerków, jeden z najwspanialszych, na które się złożyła hojność przyrody i wytrzymałość pracowniej ręki, zasługuje na większą u nas sławę, niż ją dotąd posiadał. My jeszcze i teraz, choć zwrot pomyślny już nastąpił, nie doceniamy należycie tego, co własne. Taka „Parkowa Góra“ przy kurhausie jakiego Bada byłaby reklamowaną na cztery strony świata, gdy park krynicki półgębkiem się ledwo pochwali. W Reinchenhallu naprzykład jest także park na pochyłości góry; o wiele on mniejszy i mniej dobrze utrzymany od tutejszego, a jak to się nim cieszą, jak go wychwalają!

Trzeba jednak przyznać, powtarzam, że zwrot pomyślny już się zaczął. Krzyżacka ręka za kark chwyciwszy, bezwiednie pchnęła w tę stronę, gdzie rozmaite bogactwa naszej ziemi leżą niedocenione i niewyzyskane. Trzeba przyznać, że nasi mniej dziś jeżdżą do badów, a wskutek tego zdrojowiska i uzdrowiska nasze są na dobrej drodze do prawidłowego rozwoju. Obyż to nie był chwilowy tylko pęd słomopłomiennej naszej natury!

Ale nie, to nie może być objawem chwilowym jedynie, to musi być, i będzie, zwrot stały.

Hygiena dziś spopularyzowana o tyle, że każda prawie inteligentniejsza i zamożniejsza jednostka uznaje konieczność spędzania chociaż części pięknej pory roku po za niezdrową sferą sztucznych warunków tak fizycznego, jak i umysłowego życia, które wytwo-

rzyło przeciwilizowanie. To też co rok to większa liczba letników rozprasza się z miast po polach i lasach, aby wetchnąć trochę naturalnego powietrza i rozprostować się trochę z konwencyonalizmu, aby zjeść normalnego barszczu i autentycznej kaszy, skąpać się w słabym chociaż roztworze pierwotnego bytu i rzeźwiejszym, mocniejszym, pogodniejszym powrócić do skomplikowanej maszyny współczesnych warunków, do której wracać jednakże trzeba, bo bez niej, bądź co bądź, wykoleiłby się pociąg, pędzący po relsach postępu.

To, że wszech miar pożyteczne „latowanie“ dla wielu osobników byłoby jeszcze pożyteczniejszym, gdyby odjeżdżali od środowisk miejskich cokolwiek dalej, a zwłaszcza wyżej. Na letni sezon w góry jadą zazwyczaj tylko osoby potrzebujące wód mineralnych; te, co ich nie potrzebują, oddalają się od miasta częstokroć tylko tyle, że pozbawiając się miejskich dogodności, nie zyskują wzamian wiejskich; zadowalniają się powietrzem i pejzażem jakiejś płaskiej niziny, kawałkiem przetrzebionego lasu i zaskórną wodą z cembrowanej studni. A tymczasem, za cenę nie o wiele większą, o ileż większą można mieć sumę zdrowotności i przyjemności, jeżeli się lato spędza gdziekolwiek na podgórzu tego łańcucha zadrzewionych wyżyn, który „dawszy nam wszystko, co dać mógł“ Bóg nam dodał jeszcze, jako najnaturalniejszą i najprzyjemniejszą lecznicę.

Tu, w Krynicy, osoby niemogące lub nie chcące dalej chodzić, lokują się zwykle w wilkach i zakładach leżących blisko źródła, to jest przy bitej drodze, w głębi doliny Krynickiej; wytrwalsze i ruch lubiące, wolą domki na wzgórzach, powyżej doliny, dalsze od głównej arterii, ale położeniem swem i urządzeniem trzymane w charakterze bardzo sielskim. Stoją one na łagodnej pochyłości, mającej u podnóża centrum miejscowego życia i ruchu—gmach zdrojowy i kąpielowy z przyległościami, a opierają się o górskie zbocza, które tuż za nimi falują w rozdoły i wyżyny, porośłe najpierw runią owsa i jęczmienia, dalej krótką murawą pastwisk, na koniec jałowcem, jedliną i smerekami. Śliczne tam przechadzki wzdłuż krętych jarów i skalnych obrywów, po pnących się ku wirchom kozich drózkach. Na tak zwanej „Górze“, naprzeciw Parkowej góry, po prawej stronie doliny, takie domki wyrastają i mnożą się, jak grzybki po deszczu, wywołane ciągłym wzrostem i rozwojem Krynicy, potrzebującej coraz więcej pomieszczenia dla co rok liczniejszych gości. Tam pod „Szczerbecem“ lub „Złotą Bramą“, w willi „Karpackiej“, „Alpejskiej“ i innych, żyć można o wiele taniej, niż w urządzonych z hotelowym komfortem willach i pensjonatach blizkich zdrojowiska, i można w tem względem odosobnieniu używać zupełnie wiejskiej swobody, urządzić się jakby w dworku w jakiej swojskiej Wólee.

Naprzykład można sobie rankiem zarzucić na siebie byle jaką szatę i poknajpować na bosaka po trawniku przed werandą, o południu zajrzeć do kuchni, rozporządzić się według swego gustu co do rosółu i pieczeni, kurcząt i sałaty, a huknąwszy z góry na przechodzące dołem góralki, nakupić na deser

poziomek i śmietany, masła i sera; można po wczesnym obiedzie, z leniwie przegładaną książką w rękę, wytarzać się w bujnej trawie w chłodku lub na słońku, co kto woli, używszy zaś do syta sielskiej prostoty i samotnej swobody, można też zejść czasem na dół, gdzie rojno, gwarno, tłumnie, aby z rozrywek towarzyskich zrobić sobie małą domieszkę do pierwotnego rozkoszowania się naturą. A to tak miło używać tych naturalnych przyjemności wspólnie z osobami sympatycznymi, łatwymi i ożywionymi, których kółko zawsze da się złożyć wśród przygodnych znajomych; tak miło prostą naturę, z jej pięknem i jej swobodą, wziąć za tło do wesołej zabawy. Wie o tem dobrze młodzież, która ogólnie dziś przekłada zdrowe rozrywki gier sportowych na wolnem powietrzu, nad taneczne zebrania wśród ścian wypełnionych trującą atmosferą. Niech powie każda, nie wykoszlawiona sztuczna tresurą, panienska, czy milej poswawolić z towarzyszką, pogawędzić z towarzyszem w zamknięciu i skrepowaniu, czy też zabawić się w rówieśnem gronie, ot, na takiej, jak tu, przed oknami, zbiegającej ku potokowi łące, gdzie trawa po kolana, nakrapiana złotem jaskrów, smugami niezabudek rozblękitniona, poróżwiona kępami smółki, gdzie przy łąweczce w lipowym cieniu pachną kwitnące konieczynki, zapraszające oboczego chłopaka, aby w jej trójlistkach szczęścia sobie poszukał, a wysmukłe margarytki, kołysząc wielopłatkowymi główkami, szepeczą zamysłonej dziewczynie: kocha—nie kocha—kocha.

Wracając do pracy, bez której i miłość marnieje, jak kłos bez nawozu, dodam jeszcze, że w tych, tak odpowiednich dla letników domkach, koszt utrzymania się jest względnie bardzo umiarkowany. Tu naprzykład, w willi pod „Szczerbecem“, dwie moje towarzyszki i ja mamy duży pokój z wyjściem na werandę i mały, z wyjściem na kurytarz, obiad posilny (zupa, mięso z jarzyną, kompot) przez samą gospodynię czysto przyrządzony, usługę, samowar i t. p., za garstkę srebrników austriackiej waluty, równającą się mniej więcej czterem rublom z kopiejkami. W następującym, najbardziej uczęszczanym sezonie, wszelkie ceny podwyższyć się naturalnie muszą; ale w ostatnim, jesiennym, znów spadną, a będzie to właśnie najpiękniejsza pora, po dżdżystem obecnem lecie z pewnością nastąpi pogodny wrzesień. Osobom, któreby chciały szczegółowych informacji pod wszystkimi względami, zalecam wyczerpującą broszurę: „Krynica“, dra Z. Wąsowicza.

Pierwszy sezon, wiosenny, był tu tego roku, wskutek ciągłych słoń i chłódów, bardzo mało ożywiony, ale sezon letni dobrze się zapowiada, bo już w pierwszych dniach lipca przybywało po paręset osób dziennie. Równocześnie z przyływem gości ożywił się ruch handlowy, sklepy i sklepiki powystawiały swoje towary, przeważnie artykuły spożywcze, galanteryjne i toaletowe, w cenach niewiele dotąd wyższych od cen lwowskich. Przybyła też ze Lwowa trupa teatru ludowego „miłośników sceny“ z Zapolską i Wypiańskim w repertuarze, a Mielniewskim z Krakowa w personelu. Koncertów było już parę: jeden urozmaicał program obchodu uroczystości jubileuszu Papieżkiego, drugi da-



wało „Echo“ lwowskie. W tych dniach ma odbyć się koncert akademicki na sanatorium dla studentów w Zakopanem.

Reuniony z tańcami odbywają się mniej więcej co tydzień i w miarę przyływu gości mogą bardzo przyczynić się do uprzyjemnienia im pobytu, podając sposobność zawierania stosunków, jeżeli goście zechcą zrozumieć, że, aby dobrze wybrać, trzeba przede wszystkim mieć w czem wybierać; czyli, że dla utworzenia sobie sympatycznego grona nowych znajomych, trzeba nie robić zbyt wielkich trudności w zaznajamianiu się i wśród tych swobodniejszych w ogóle warunków życia rozluźnić też trochę powijaków etykiety, rozsunąć trochę chińskie parawaniki.

Dawniej były chińskie mury, rozgraniczające sfery społeczne; dziś kastowość znikła z ustroju państwowego, ale natomiast w obyczaju towarzyskim powstały parawaniki chińskie, malowane w pozłacane smoki, bóstwa płaskiej próżności i ciasnoty pojęć, a rozgraniczające kółka, kółeczka i kółeczeczka.

Z mnóstwa miejskich gratów, bez których wartoby się obchodzić, przynajmniej na willegiaturze, ten jest może najniepotrzebniejszym; a jednak nie jedna z pań najpierwej go rozpakowuje i tryumfalnie rozstawia na łonie natury, wśród wiejskiego otoczenia i patryarchalnej prostoty.

Gdybyż to można i w tem troszkę zastosować „kochaj bliźniego, jak siebie samego“ i „nie czyn drugiemu, co tobie niemiło.“

Julia Terpilowska.



## Z historii koronek.



Angielka, pani Paliser, w niedawno wydanym dziele, ozdobionem setkami rycin, bardzo obrazowo przedstawia rozwój koronczarstwa. Oprócz samych koronek, w książce tej znajdują się ryciny, mogące dać pojęcie o sposobie ich noszenia.

Artystyczne utwory ludów starożytnych, Greków i Rzymian, w gałęzi koronczarstwa również uwzględnione są w książce pani Paliser, przy czem przytoczony jest panegiryk Salomona dla Żydówek, za ich umiejętność wyrabiania tkanin koronkowych.

W czasach feudalizmu rycerze posyłali swe córki do zamków swych władców, aby doskonaliły się tam w szyciu, przędzeniu i tkactwie. Samo przez się rozumie się, że pani Paliser najobszerniej opracowała koronczarstwo w Anglii.

W wieku XVIII-ym koronki brukselskie i francuskie były w Anglii w modzie ku zgorszeniu patryotów angielskich, którzy dobijali się tego, aby zabronić przywozu towarów zagranicznych.

Urzednicy celni musieli niejednokrotnie uciekać się do środków surowych i bezceremonialnych. Zatrzymywali lektyki na ulicach i szukali cennych koronek w pantoflach, rękawiczkach i parasolkach dam.

Gazety angielskie z roku 1752-go opowiadają rozmaite komiczne wypadki z powodu kontrabandy w owych czasach. Jeśli damy i mężczyźni przemknęli się przez granicę w Duwrze, to przyłapywano ich gdzieindziej.

Pewien attaché ambasady hiszpańskiej zmuszony był zgodzić się na odprucie od 36 tuzinów wspaniałych koszul koronek dreźnieńskich i musiał zostawić je na komorze.

Kiedy ciałko księcia Devonshire przybyło z Fran-

cyi, urzednicy celni nie zadowolili się obejrzeniem trumny, lecz zechcieli przekonać się, czy w trumnie znajduje się rzeczywisty nieboszczyk, ponieważ byli niedawno w podobnym wypadku oszukani. Tułów pewnego księdza zamieniono na koronki holenderskie, a biednemu nieboszczykowi zostawiono jedynie głowę, nogi i ręce.

Pomimo niezliczonej ilości szpiegów, sędzia z Westminsteru zdołał przewieźć koronek na znaczną sumę w trumnie biskupa Atterbury.

Po wielkiej rewolucyi sztuka wyrobu koronek upadła we Francyi, tak samo, jak i w Anglii, gdzie mnóstwo cennych kolekcji, po śmierci ich właścicieli przeszło na własność służby.

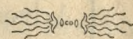
Z niewielkiej ilości osób, które do końca przechowywały swe cenne zbiory, zasługuje na uwagę księżna Gloucester, której koronki uważane były za najlepsze w Europie.

Kiedy moda noszenia koronek minęła, znajdowano je nawet w rodzinach włościańskich, gdzie je chowano na pamiątkę po zmarłych właścicielkach zamków. Popyt na te ozdoby obecnie rozszerzył się na wszystkie warstwy i dlatego wyrób koronek popierany był przez królową Wiktoryę.

Nawet Japończycy otworzyli w Jokohamie szkołę wyrabiania koronek pod kierownictwem pewnej Angielki.

Koronki irlandzkie wyrabiać zaczęto z powodu złego urodzaju kartofli.

Z miasteczka Dugel sztuka ta rozpowszechniła się na całą Irlandyę i „point de la Rose“, którymi wsławił się klasztor New-Rost, otrzymały początek ze wzoru, kupionego przez pewną zakonnice u handlarza-Żyda przed stu laty.



## Kronika działalności kobiecej.



— P. Izabella Boznańska, pianistka, siostra znanej artystki-malarki, po złożeniu w Genewie egzaminu dojrzałości z odznaczeniem, wstąpiła w Paryżu na kursa Sorbony. Obecnie, przebywszy trzy lata na wydziale chemii, złożyła egzamin z tego przedmiotu i tak samo jak poprzednio w Genewie, złożyła go z odznaczeniem.

— Panna Marya Koszutska z Warszawy, złożyła w Sorbonie paryzkiej egzamin i otrzymała nader rzadko udzielaną kobietom „zaszczytną wzmiankę“ (*Mention honorable*).

— W Austrii i na Węgrzech wyższe szkoły handlowe były dotychczas dla kobiet niedostępne, istniały dla nich tylko kursa średnie. W tym roku pierwsza panna Kamilla Stoczek, złożyła egzamin z ukończenia Akademii handlowej w Peszcie, a przykład jej niewątpliwie pociągnie wiele naśladowczyń. Dla panny Stoczek otwartymi stoją: podwoje Uniwersytetu, katedra profesorska i t. p. naukowe zaszczyty.

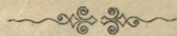
— W mieście Kiang-kiang w Chinach, otwarty został w grudniu roku zeszłego nowy, obszerny szpital. Obecnie dwie Chinki, panny: Stone i Kahn, ze stopniami doktorów medycyny, otrzymały w nim stanowisko stałych lekarzy.

— Na ostatnim zgromadzeniu Stowarzyszenia „National Federation of Women's Club's“ w Nowym-Yorku, uczyniono krok naprzód i postanowiono przyjąć tak zwany „New-York Amendment“, t. j. paragraf, mocą którego Murzynki, na równi z „białymi“ przyjmowane są do federacji. W taki sposób, w dużej mierze rozstrzygnięta została kwestya rasowa („Color-Question“), która wpośród kobiet na bardzo sprzeczne natrafiała poglądy.

— Trzy Stowarzyszenia kobiet w Ameryce obchodzily przed niedawnym czasem pięćdziesięciolecie swego istnienia. Najstarsze „Sorofis“ w Nowym-Yorku, założone zostało przez

Czeszkę, Annę Dormitzer. Stowarzyszenie „Literatek i artystek“ liczy i w Europie, zwłaszcza w Austrii, sporą liczbę członkiń. „Ladies Library Association“ w Kalamasco, w Michigan, pozostaje w związku z wieloma stowarzyszeniami i klubami kobiecymi, rozsianymi po całej Ameryce.

Z. S.



## Na półkach księgarskich.



— *Al. Janowski: Wycieczki po kraju.* Zeszyt I-szy. Wydanie drugie. Skład główny w księgarń Jana Fiszera. Warszawa, 1902.

W drugim już wydaniu ukazują się „Wycieczki po kraju“, co dowodzi, iż książki, mające na celu zaznajamianie publiczności szerszej z uroczymi zakątkami kraju naszego, są ciekawe i pożądanym. P. Janowski wydał już kilka takich zeszytów, a na niepowodzenie dotychczas narzekać nie może. W ogóle cieszy nas, iż w ostatnich czasach leżąca od dość dawna odlegiem niwa krajoznawstwa, zaczyna być uprawiana przez sumiennych badaczy-pisarzy, jak pp. Leonard de Verdemon-Jacques, autor „Monografii miast, miasteczek i osad Królestwa Polskiego“ lub Michał Rawicz-Witanowski. W I-ym zeszytzie wydawnictwa p. Al. Janowskiego, obficie ilustrowanym i zaopatrzonym w odpowiednią mapę, opisane są: Kielce, Góry Świętokrzyskie i Radom. Do wydania obecnego weszły też nowe „dodatki“ i „cyfry“, a zamiast przedmowy dał nam autor nowelkę Stefana Żeromskiego: „Na pokładzie.“ Wydanie ładne, staranne.

— *Adolf Dygasinski: Gody życia.* Opowieść. Nakładem Jana Fiszera. Warszawa, 1902.

Ostatnia ta praca niedawno zmarłego, a tak znakomitego pisarza, jest zarazem jednym z najcenniejszych dzieł jego i pod tytułem „Mysikrólik“ drukowaną była poprzednio w „Kuryerze Warszawskim.“ Jest to historia żywota drobnej ptaszyny w Bohborze, nad Prądnikiem, na tle wspaniałych obrazów przyrody, skreślona językiem doskonałym, z dużym kunsztem pisarskim i ogromną znajomością świata zwierzęcego. Wydanie książkowe prześliznęło, przynosi zaszczyt nakładcy: druk, papier, okładka z piękną winiętą pod względem estetycznym nie pozostawiają nic do życzenia.

— *„Proszę o głos!“* Zbiór toastów wierszem i prozą oraz mów, zastosowanych do obchodów i uroczystości rodzinnych, wydarzeń okolicznościowych, zebrań towarzyskich i t. p. Wydanie drugie. Warszawa, Jan Fiszera, 1902.

W drugim już wydaniu, uzupełnionem i poprawionem, wychodzi nakładem Fiszera ten zbiór utworów okolicznościowych nieznanego autora. Świadczy to o nim, że przypadł do gustu ogółowi, który chętnie z niego korzysta. Na dwustu stronicach rozsypane są tu drobne prozą i wierszem, często dowcipne, czasem odznaczające się niewybrednym humorem, czasem znowu niezręczne i pospolite; na ogół jednak biorąc jest tu dużo utworów, istotnie dobre mogących znaleźć zastosowanie w danej chwili. Papier i druk ładne, korekta dość staranna.

— *„Lawn-Tennis.“* Podręcznik do nauki gry, zawierający wskazówki praktyczne i rady dla grających. Opracował Wigor. Nakładem J. Rokickiego i S-ki. Drukiem Dunina. (Przedruk wzbroniony).

Podręcznik omawiany zawiera dużo istotnie dobrych rad i wskazówek, to też można go śmiało polecić czytelnikom naszym. Jest to książeczka użyteczna i ciekawa dla pragnących nauczyć się grać w „lawn-tennisa.“ K. T.

## Treść numeru:

Ś. p. J. E. kardynał Mieczysław Ignacy hr. Ledóchowski, przez Kr.— Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Kr.— Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Kr.— Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich), przez Kr.— Władysław Ordon (ze wspomnień lwowskich). — Przystań, powieść współczesna, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Ronda, przez Tadeusza Kończycza. — W sprawie kobiecej, przez Maryę Cz. Przewóska (dokończenie). — Pogadanki pedagogiczne Narcyzy Żmichowskiej, w opracowaniu Wandy Żeleńskiej (ciąg dalszy). — Jak sen..., nowella, przez Wandę Grot-Bęczkowską. — Kobiety na stanowisku inspektorek fabrycznych, przez P. W. — Z listów do „Bluszczy“, Z Krynicy, przez Julię Terpilowską. — Z historii koronek. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Na półkach księgarskich, przez K. T. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz czwarty „Wrażeń z podróży po wybrzeżu północnym Afryki“ d-ra W. Miklaszewskiego.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krajów.



# Całun Jezusa Chrystusa

Studyum naukowe Pawła Vignon'a Doktora Nauk Przyrodniczych.

Jestto najwierniejszy i najobszerniejszy opis droгоценnej i Świętej pamiątki po Chrystusie, ozdobiony

19-ma ilustracyami, odbitemi na welinie, pomiędzy którymi znajduje się

**NAJWIERNIEJSZA KOPJA WIZERUNKU JEZUSA CHRYSSTUSA.**

Wydawnictwo to aprobowane przez Warszawski Rzymsko-Katolicki Konsystorz za № 2460.

**CENA kop. 80.**

*Do nabycia we wszystkich księgarniach.*

Nadsyłający należność do Administracji tygodnika „Bluszcz” Ś-to Krzyzka 11, kosztów przesyłki nie ponoszą.

## „ZORZA“

Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

SZTUKI STOSOWANEJ.

2 WARSZAWA, CHMIELNA № 44.

### Dezynfekcja

i czyszczenie pierzy, włosów materacowych.

Ubrania po chorych etc.

Marszałkowska 33.

## OBICIA

oraz odnawianie lokali, TANI!

### STEFAN LOBER

PAPIEROWE

MARSZAŁKOWSKA № 117 (w podwórzu).

PRACOWNIA KÓLDER

### MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

## Pensya żeńska prywatna ANTONINY WALICKIEJ

ul. Krucza № 44, róg Nowogrodzkiej,

otworzona zostanie z początkiem roku szkolnego 1901—3. Adres tymczasowy: Sienna 20, od 4-ej do 5-ej po południu.

*Egzystująca od 1835 roku firma*

## „T. STRAKACZ I SYN“

W WARSZAWIE

przy ulicy Kapucyńskiej, róg Miodowej

*poleca:*

znaczny wybór kościelnych ubiorów, materji w różnych gatunkach i deseniach, oraz różne inne przedmioty na użytek Kościoła potrzebne.

Dla Pań! Dla Panów!



Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności i przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.

**BOROXYL**

chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.

*Cena flakonu 60 k.*

Żądać wszędzie.

Główna sprzedaż w aptece

**F. ZAMENHOFA**

Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.

Szkoła Kroju i Pracownia Sukien

## „ROMANA“

Warszawa, Erywańska 14.

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie, (wydaje patenta cechowe). Wykonywa, suknie, szlafroki, bluzki, halki, matinki.

Mamy zaszczyt zawiadomić Szanowną klientelę naszą, że

Skład Fabryczny  
**GORSETÓW**  
powszechnie znanych  
**PLATINUM**  
**ANTI-GORSET**

z dniem 15 lipca r. b. przeniesiony będzie z ul. Bielańskiej na ulicę **SENATORSKĄ № 32**, I-sze piętro.

Odświeża skórę i nadaje jej miękkość, delikatność i puszystość,

## OSTRZEŻENIE.

Wskutek licznych bezwartościowych naśladowań Pudru „IRIS” zupełnie nieszkodliwego, który dzięki swym wysokim zaletom, zjednał sobie uznanie, zmuszony jestem prosić Szan. Publiczność o zwracanie przy kupnie uwagi na zamieszczone obecnie marki ochronne, zatwierdzone przez Minist. Skarbu, a znajdujące się na każdym pudełku. Naśladownictwa będą prawnie poszukiwane. Żądać wszędzie w blaszanym opakowaniu z podpisem **H. LACHS,**

— pudełko po kop. 15, 30, 50, 75. —



Żądajcie w Składach Aptecznych i Aptekach

# INSEKTIN

skutecznie tępi wszelkie robactwa.

REPREZENTANT I SKŁAD HURTOWY  
**ZYG. MAMLOK** WARSZAWA, Złota № 36.  
SOSNOWIEC, ul. Modrzejowska.

## „NAOKOŁO ŚWIATA“

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE

poświęcone

opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków.

Wychodzi w Warszawie według programu, obejmującego następujące działy:

Opisy podróży lądowych i morskich.  
Artykuły przyrodnicze i geograficzne.  
Odkrycia i wynalazki.

Opisy krajów i ludów we wszystkich częściach świata.  
Sprawy żeglugi powietrznej.  
Rozmaitości, zadania, szarady i t. p.

**WARUNKI PRZEDPŁATY:**

w Warszawie rocznie rb. 4. Na prowincji i w Cesarstwie rocznie 5 rb.  
półrocznie „ 2. półrocznie 2 rb. 50 k.  
kwartalnie „ 1. kwartalnie 1 rb. 25 k.

Od 1 października r. b. zacząć wychodzić dodatek tygodniowy p. t.

**BIBLIOTEKA ILUSTROWANA PODRÓŻY I POWIEŚCI.**

Prenumerata pisma wraz z Biblioteką wynosić będzie w Warszawie 6 rb. rocznie i z przesyłką pocztową 7 rb. 50 k.

Wydawca: **Antoni Orłowski.**

Redaktor: **Wacław Jezierski.**

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ulica S-tej Barbary № 8.